

BIBLIOTEKA
WYŻSZEJ SZKOŁY PEDAGOGICZNEJ
w GDANSKU

ziemia

• ROK II • NR II (13) • LISTOPAD 1957 • 5 Zł •



przedstawia staroperuwiańskie naczyne gliniane z przechowywanych w krakowskim Muzeum Archeologicznym zbiorów Klugera. O kolekcji zabytków z nadmorskich oaz przedinkaskich pisze na str. 4 Anna Kowalska-Lewicka.



PRENUMERATA W KRAJU

Prenumeratę na I kwartał 1958 (i następne) przyjmują placówki pocztowe, listonosze, centrala „Ruchu” w Warszawie, Srebrna 12 (konto PKO dla wpłat 1-6-100 024) oraz Oddziały „Ruchu” w W-wie, w miastach wojewódzkich i powiatowych — od 16 listopada DO 15 GRUDNIA

Państwowe Wydawnictwo Naukowe, W-wa, Krakowskie Przedm. 79 przyjmuje wpłaty DO 25 KAŻDEGO MIESIĄCA na miesiąc następny i dalsze. Konto PKO dla wpłat 1-6-100 214. Cena prenumeraty (zarówno „Ruchu” jak i PWN) kwartalnie 15 zł, półrocznie 30 zł, rocznie 60 zł.

PRENUMERATA ZE ZLECENIEM WYSYŁKI ZA GRANICĄ

Czytelnicy posiadający krewnych i znajomych za granicą mogą zaprenumerować nasze pismo ze zleceniem wysyłki za granicę w PKWZ „Ruch”, W-wa, ul. Wilcza 46, nr konta PKO 1-6-100 024. Cena tej prenumeraty — kwartalnie 21 zł, półrocznie 42 zł, rocznie 84 zł.

POPRIEDNIE NUMERY ZIEMI

Numery z roku 1957 — można nabywać w „Wzorcowni” Państw. Wyd. Naukowego w Warszawie, Miodowa 10; lub zamawiać listownie pod tym samym adresem. Numery 1 i 2 z roku 1956 nabywać można w sklepach antykwarycznych „Ruchu” w Warszawie, przy ul. Wiejskiej 14 i Puławskiej 108, oraz zamawiać listownie w centrali „Ruchu” w W-wie, Srebrna 12, Dział Sprzedaży Prasy Antykwarycznej.

ZA GRANICĄ

zamawiać można ZIEMIĘ na 15 dni przed datą prenumeraty wpłacając odpowiednią sumę na konto 2-38-51 Narodowy Bank Polski, Warszawa, Traugutta 7, dla CHZ „Ars Polona”, zaznaczając wyraźnie: „wpłata na prenumeratę ZIEMI” i podając dokładny adres, na który pismo ma być wysyłane.

Cena ZIEMI: w St. Zjednoczonych AP — dol. 0,35, rocznie 4,20; w Wielkiej Brytanii £ 0,23, rocznie 1,89; we Francji — Fr. 105, rocznie 1380, w Niem. Republice Federalnej — DM 1,30, rocznie 19,20; w Australii — £A 0,27, rocznie 1,107. Cena egzemplarzy archiwalnych jest wyższa o 10%.

Zamówienia na ZIEMIĘ można także składać m. in. w następujących księgarniach: ZSRR — w „miestskich i gorodskich Otdielach Sojuzpieczati”; NRD — Zeitungsvertriebsamt II C, Berlin NW, Clara Zetkin str. 62; Czechosłowacja — 1) Melantrich, Abt. f. Ausl. Presse, Praha XVI, V. Hugo 4, 2) PZKO Knihkupecvi Karvina II/Doly tr. Cslow. Armady, 3) PZKO C. Tesin Gottvaldova 15; Anglia — Cracovia Book Company, 58 Pembroke Rd. London W 8; Australia — 1) Current Book Distributors, 40, Market Street Sydney, New South Wales, 2) Gordon & Gotch (A) Asia Ltd. Melbourne, Israel — 1) „Sifriat Poalim” Workers Book-Guild (Hasomer Hatzair) Ltd. Tel-Aviv, 73 Allenby St. P.O.B. 526, 2) „Halilepac”, Haifa, Arlosorov St. 11 Nordan St. 15 P.O.B. 1784, 3) „Lepac”, Tel-Aviv, P.O.B. 1136; Kanada — Syrena Book and Travel Agency 2 P. 94 A Dundas Street, W. Toronto 3, Ontario; Francja — 1) Le Livre Polonais en France, Paris VIII-ème, 29 bis, rue Jean Goujon, 2) Agence Littéraire et Artistique Parisienne, 7, rue Debelleyme Paris III-e; USA — Dolphin Service, 441 Belleview Drive, Falls Church 1, Virginia.



— ilustrowany miesięcznik krajoznawczy, organ POLSKIEGO TOWARZYSTWA TURYSTYCZNO-KRAJOZNAWCZEGO. Przewodniczący komitetu redakcyjnego — MAREK SOBOLEWSKI, redaktor naczelny — PRZEMYSŁAW BURCHARD, zast. red. nac. — JANUSZ GRZYBOWSKI, sekr. red. — MACIEJ KUCZYŃSKI, red. działów — MARIAN KORNECKI i LESZEK DZIEGIEL, red. techniczny — ZYGMUNT STRYCHALSKI, układ graficzny — ZBIGNIEWA ŁAGOCKIEGO. Adres redakcji: Kraków, Basztowa 6. PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE. Oddział w Krakowie, Smoleński 14, tel. 596-76. Nakład 18.005. Zam. 615/57. M-11. DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE

SZAŁAS W TATRACH POLSKICH



RUDOLF ŚMIALOWSKI

Któż z nas w czasie wycieczek nie korzystał ze schronienia w szałasach tatrzańskich. Wszyscy wspominamy niejedną chwilę spędzoną w jego wnętrzu w czasie burzy lub zlewy, gdy zziębniętych, mokrych od stóp do głów i zmęczonych ogrzewał i suszył ciepłem swej watry, lub gdy z zapadnięciem nocy służył nam prymitywnym, ale bezpiętnym noclegiem.

Budownictwo pasterskie w Tatrach Polskich ze względu na swe wielorakie wartości tak co do konstrukcji jak i formy architektonicznej oraz ze względu na coraz bardziej szerszą się dewastację istniejących szałasów i widoczny zanik tradycyjnych budownictwa powinno być uznane jako zabytkowe i objęte ustawą o ochronie zabytków. Dlatego pozwolę sobie w nieco fachowej formie zaznajomić czytelników, przynajmniej pobieżnie, z walorami budownictwa szałasów.*

Szałas w Tatrach rozrzucone są wszędzie — w dolinach dolnego regla, w reglu górnym, a nawet powyżej górnej granicy lasów w dolinie Pięciu Stawów Polskich.

Budownictwo pasterskie w górach wysokich jest nieodłącznie związane z sezonowym wypasem owiec, rzadziej krów, i bezpośrednim przerośnięciem owczego mleka na ser; z surowymi warunkami górskiego klimatu i materialnymi możliwościami leżącego w bezpośrednim sąsiedztwie te-

renu. Jego cechy to najdalej posunięta prostota, celowość oraz, rzecz można, wyśrubowana ekonomika użytych środków tak pod względem materiałowym jak i robocizny. Ważną sprawą w budowie szałasów jest zagadnienie materiału i konstrukcji, które w połączeniu z klimatem decydują o wielu sprawach tego ciekawego budownictwa. Dlatego też materiałowi i konstrukcji poświęcimy więcej miejsca, aby istniejącą lukę w naszym piśmiennictwie na ten temat choć w części wypełnić. Materiał używany do budowy szałasów to w głównej mierze świerk górski: okorowane okrągłaki, z których wykonywane są ściany i dach; połówki okrągłaków, płazy na podłogi i ewentualne stropy; deski lupane lub tarte, ewentualnie gont, na pokrycie dachu oraz w niewielkich ilościach nieobrobiane, dzikie kamienie na podporę.

Konstrukcję szałasów stanowią ściany i dach. Ściany wykonane są z belek poziomych (okrągłaków), wiązanych w węglach na zamek w ten sposób, że belki jednej ściany są przesunięte w pionie o połowę swej grubości w stosunku do belek drugiej ściany, przyległej. Jest to tak zwana ściana węglowa w odróżnieniu od ściany wieńcowej, w której belki sąsiednie (przyległe) leżą na tym samym poziomie i tworzą faktycznie wieńiec. Zauważmy więc pierwszą, ważną cechę budownictwa pasterskiego w Tatrach: wiązanie ścian jest węglowe, a nie wieńcowe.

Ze względu na to, że belki ściany ułożone są nad sobą w odstępie kilku centymetrów, stykają się one ze sobą jedynie w węglach. W konsekwencji takiego układu węglę stają

się jakby słupami, na których spoczywa cała konstrukcja szałasów. Połączenia w węglach mogą być różne. Drugą podstawową cechą tego budownictwa jest zatem zasada, że elementami nośnymi szałasów są węglę, a nie całe ściany.

Najniższym elementem ściany poprzecznej, czołowej, jest próg, do którego wpuszczone są słupce drzwiowe. Elementy poziome ściany, biegnące od węglę do słupców, noszą nazwę sumików. Sumiki są połączone na czopy ze słupcami. Wolną przestrzeń między progiem a elementem ściany podłużnej położonym wyżej o połowę grubości progu, wypełnia niezwiązana z węglami drewniana podwalina. Trzecią cechą będącą to, że podwalina jest jedynie elementem wypełniającym, a nie konstrukcyjnym.

Najwyższe elementy ścian podłużnych są zarazem podstawowymi elementami dachu, są to płatwie, na których opierają się krokwie normalne i narożne. W ten sposób mamy ściśle powiązanie ścian szałasów z dachem, co jest bardzo ważne ze względu na silne parcie wiatru, na które szałas jest bardzo często narażony, i któremu skutecznie się opiera z uwagi na zespolenie dachu i ścian w jedną konstrukcyjną całość, co jest czwartą cechą omawianego budownictwa.

Dach szałasów składa się przeważnie z omówionych dwóch płatwi, z trzech par krokwie normalnych, czterech krokwie narożnych oraz dwu krokwie czołowych. Krokwie normalne wiązane są u góry na zwiłowanie lub nakładkę oraz są połączone poniżej kalenicy tzw. bontem, który tworzy z końcami krokwie sztywny trójkąt. Krokwie narożne są krótsze

od normalnych i opierają się na skrajnych, normalnych krokwiach w miejscu połączenia bontu z krokwiemi. Krokwie czołowe wspierają się na tych samych bontach, ale w środku ich długości. Charakterystyczną cechą tego dachu jest oparcie dolnych końców skrajnych krokwi normalnych na płatwiach w odległości około 30 cm od węgla do wnętrza szalasu, zaś krokwi narożnych w podobnych odległościach, ale na zewnątrz szalasu. Dach szalasu jest kryty przeważnie deskami, rzadziej gontem.



Po zagadnieniach konstrukcyjnych pora na omówienie funkcji szalasu (rzutu poziomego), która wypływa ściśle z potrzeb i warunków pasterstwa. Rzut poziomy szalasu typowego składa się z właściwej izby i komory. W izbie, przy ścianie zewnętrznej, około 40 cm poniżej podłogi, znajduje się „watrzysko” tj. miejsce na palenisko. Tu warzy się mleko owcze do produkcji sera oraz skromne posiłki dla bacy i juhasów. Dym z paleniska, z watry, uchodzi przez mały trójkątny otwór zwany dymnikiem mieszczący się u góry dachu, nad miejscem połączenia krokwi narożnych z normalnymi. Izba przeważnie stropu nie posiada. Komora służy na przechowanie serów, żentycy i sprzętu gospodarskiego. Podkreślić należy, że szalasy nie są mieszkaniami, a jedynie sezonowym schronem.



Niezależnie od opisanego przykładu, niejako klasycznego, występują dosyć licznie szalasy jedno- i wieloizbowe, przy czym te ostatnie łączą pod jednym dachem stajnię, boisko służące do czasowego przechowania wozu oraz dojarnik służący zasadniczo do udoju owiec, zaś w wyjątkowych wypadkach jako schron dla nich. Dojarnik kryty jest osobnym dachem stanowiącym przedłużenie połączy dachowych szalasu.

Szalasy posiadają tylko jedno drzwi, w miejsce okien wykonywane są w dwóch górnych belkach pod okapem małe otwory tzw. „przeziory” służące zasadniczo do wentylacji. Jako cechę ogólną stwierdzić należy, że budownictwo szalasów jest doskonale przystosowane do swej funkcji i warunków klimatycznych.

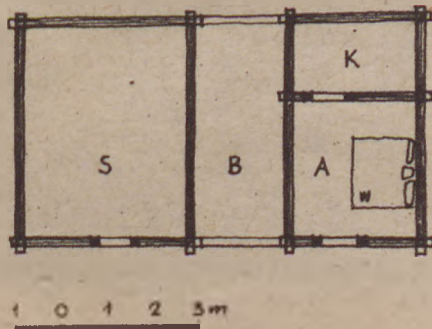
Wyrazista, pozioma konstrukcja ścian z okorowanych świerkowych okrągłaków, wielka połać dachu o rytmicznym układzie ciemnych i jasnych pasów, czarna krecha cienia pod okapem, a w dalekim tle zieleń lasu i popielate skały. Hala Na Stołach, Tatrzy Zachodnie.

Szalasy w dolinie Pięciu Stawów Polskich, przytulony do skałki, obłożony glazami, szeroko i nisko rozstawiony, doskonale wraża w krajobraz górski.

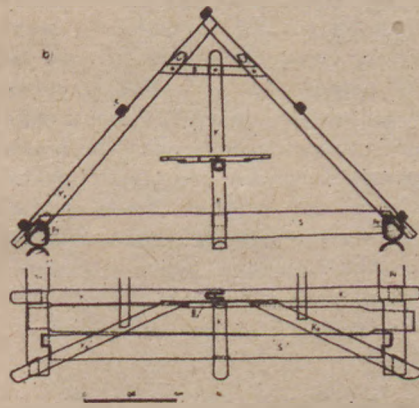
Pod względem architektonicznym szalasy w szczegółach oraz w swym ogólnym wyrazie harmonizują doskonale z otaczającą go przyrodą. Jednym słowem jest dobrze wkomponowany w górski krajobraz.

Mocny w wyrazie zrab ścian o zdecydowanym poziomym układzie, podkreślonym silnymi pionowymi węglami, przeciwstawiony jest stosunkowo dużym połaciom dachu, na których rysują się ostre krawędzie desek pokrycia. Jeśli do tego dodamy głęboki cień okapu, rzucony na ścianę szalasu oraz spatynowaną słońcem i deszczami ciemnoszarą, wpadającą w brąz, fakturę ścian i dachu, będziemy mieli pełny obraz całości, oglądanej bądź to na tle zieleni polany czy ciemnego lasu, bądź w otoczeniu tak jak i on szarych i surowych w swym wyrazie skał. Widzimy więc, że budownictwo szalasów w swej formie architektonicznej nosi znamiona swoistej klasycyzacji, polegającej na tym, że forma jest ściśle zespolona z funkcją, materiałem i konstrukcją, przy czym elementy te stanowią jedność tak między sobą jak i w całości. Dziś cechę tę określimy mianem architektury organicznej.

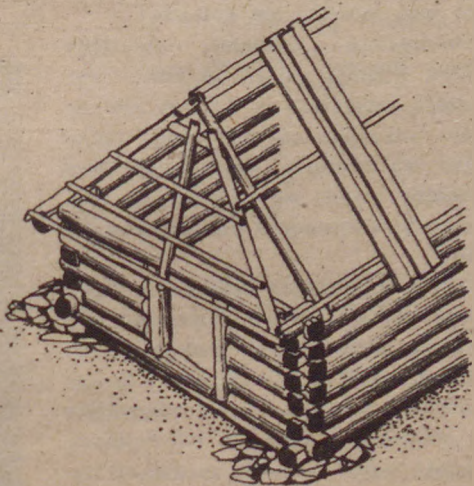
Choć szalasy w porównaniu z dzisiejszymi poglądami i te sprawy określimy jako prymitywne, jest on w swoim rodzaju szczytowo osiągnięciem tak pod względem technicznym, funkcjonalnym jak i architektonicznym. Jest on również wprost idealnie dostosowany do ciężkich i trudnych warunków klimatycznych gór wysokich. Na szczególną uwagę zasługuje wysoki poziom konstrukcji drewnianej oraz połączeń ciesielskich znakomicie dostosowanych do tworzywa, jakim jest drewno okrągłe.



Plan szalasu na hali Jaworzynka. A — izba, B — boisko, K — komora, S — stajnia, W — watrzysko.



Szalasy w dolnej partii hali Na Stołach. Powyżej na prawo: szczegół więzara dachowego. Obok: Widok aksonometryczny.



Fotografowali: autor i A. Nikodemowicz. Rysowali: E. Dąbbska i A. Nikodemowicz.

Choć skromni na podziw, żadną miarą nie możemy jednak dopuścić do tego, aby wśród wielu hucznie obchodzonych jubileuszów bez słowa minęła pierwsza rocznica wznowienia „Ziemi”. Dwanaście zeszytów pisma nie jest jeszcze podstawą do czynienia jakichś zasadniczych „bilansów” czy „podsumowań”. Jednak obecna „Ziemia” wywodzi się z tradycji znacznie starszej niż jednoroczna; pierwszy zeszyt pod tym tytułem ukazał się w roku 1910. O tym chcemy kilka słów powiedzieć.

Wielu czytelników pamięta dawną „Ziemie”. Dzisiejsza różni się od tamtej nie tylko szatą graficzną, ale i ogólnym profilem. Nic dziwnego. To, co było krajoznawczą rewelacją przed pół wiekiem, dziś weszło do szkolnych programów nauczania. To zaś, co przed laty było oczywistą codziennością — dziś jest nieraz cennym reliktem, który w ostatniej chwili ratuje się od zupełnego zapomnienia. Tak więc, uważając się za spadkobierców zasadniczej idei, której służyła dawna „Ziemia”, staramy się równocześnie tematykę, jak i sposób podania treści dostosować do potrzeb i gustów czytelnika drugiej połowy XX wieku.

Nie chodzi nam o zabawianie, bądź tylko zainteresowanie czytelników. Ambicją naszą było zapełnianie „Ziemi” materiałem o wartości nieprzemijającej. Dlatego za najcenniejsze karty ostatniego rocznika uważamy te, na których opublikowano rzeczy zupełnie nowe i dotąd nie znane. Za sukces pisma uważamy zwracanie uwagi na procesy socjologiczne, bądź tylko pewne zmienne i zanikające zjawiska polskiego dnia codziennego, dla przyszłej nauki jednak cenne i potrzebne.

Warto też zwrócić uwagę na fakt, że nowa „Ziemia” stała się jedynym w swoim rodzaju pismem o wybitnej przewadze treści humanistycznej. Wielu czytelników podnosiło w swych listach potrzebę istnienia takiego pisma, jako równoważnika znacznej ilości popularnych czasopism technicznych i przyrodniczych.

To są nasze sukcesy. Nasze — to znaczy czytelników i zespołu redakcyjnego. Czytelników na pierwszym miejscu. Bowiem od pierwszej chwili wznowienia pisma otrzymujemy od Was rady i wskazówki, uwagi i zapytania, pochwały i wyrazy niezadowolonia, prośby i żądania. Korespondencja czytelników w bardzo dużym stopniu decydowała o charakterze i wyglądzie „Ziemi”.

Zwykle każde „podsumowanie” zawiera wyczerpanie „trudności”, jakie trzeba było „zwalczyć”, „przewyciężyć” i „ominać”. My o nich nie będziemy pisać. Czytelnicy na pewno doskonale potrafią to sobie wyobrazić.

Tyle sami o sobie. A teraz niech ten skromny jubileusz 12 zeszytów nowej „Ziemi” stanie się okazją do wyrażenia przez Czytelników ogólnej oceny linii pisma, która w roczniku jest już wyraźnie zarysowana. Szczególnie zależy nam na uzasadnionych opiniach o ilościowej proporcji poszczególnych działów tematycznych, o sposobie ujmowania tematów, o celowości prowadzenia dotychczasowych stałych działów, o doborze ilustracji, o szacie graficznej. Liczymy też na wskazanie luk tematycznych, propozycje otworzenia nowych działów.

I jeszcze jedna prośba. „Ziemia” jest pismem dla specjalnego kręgu czytelników. Abyśmy nie musieli pod komercyjnym naciskiem obniżać poziomu pisma, pomóżcie nam w zdobywaniu nowych odbiorców. Prosimy, aby każdy z Was spróbował pozyskać na nowy rok choćby jednego nowego stałego czytelnika.



Z wyjątkiem strzał i igieł, przyniesionych z Cerro de Pasco przez pana Alexandra Babińskiego, tudzież figurki glinianej, znalezionej w Chancay przez p. Xawerego Wakulskiego. wszystkie inne przedmioty starożytności po większej części osobiście przeze mnie były znalezione. Daty tyżące się miejsca itp. są wypisane na etykietkach przyklepionych do każdej sztuki osobno. Wszystkie mumie bez wyjątku wykopane pod moim dozorem i w mojej obecności. Autentyczność ich więc jest pewna. Pochodzą wszystkie ze starego cmentarzyska Indian w Ancón, gdzie równocześnie ze mną kopali majtkowie statku admirałskiego francuskiego Galissonniere pod dozorem oficerów marynarki wojennej i pana Wiener wysłanego przez Rząd Francuski dla robienia tego rodzaju poszukiwań w Peru. Skrzynie te wysłane zagłowcem będą w drodze najmniej 5 lub 6 miesięcy" — pisał z Limy w roku 1878 do ówczesnej Akademii Krakowskiej Władysław Kluger.

*

Od blisko 100 lat kontakty Polski z Nowym Światem są częste i liczne; w Ameryce Północnej żyje wiele milionów, a w południowej wiele setek tysięcy Polaków — jakżeż jednak słaba jest nasza znajomość tej części świata. Przypisać to należy zapewne charakterowi polskiej emigracji, której olbrzymia większość szukała za oceanem poprawy nędznego bytu i nie miała czasu, sił ani przygotowania, by żywiej interesować się przyrodą i kulturą nowo poznawanego kontynentu.

Natomiast nasi podróżnicy, wędrujący w celach naukowych, globtrotterskich czy innych, bez porównania częściej odwiedzali Azję i Afrykę niż odległe, mało u nas znane i jako cel podróży mniej popularne obie Ameryki. Stąd tak nieliczne w polskiej literaturze podróżniczej książki z tych terenów, nie mówiąc już o pracach popularno-naukowych i naukowych, których nie ma prawie zupełnie. Stąd też mała ilość eksponatów amerykańskiego pochodzenia w naszych muzeach etnograficznych, archeologicznych, nawet przyrodniczych.

Wśród muzeów kultury jedyny (o ile mi wiadomo) wyjątek stanowi Muzeum Archeologiczne w Krakowie, które posiada sporą, zwartą i nie przypadkową kolekcję zabytków z Peru, liczącą w tej chwili 168 pozycji inwentarzowych. Została ona w latach siedemdziesiątych XIX w. ofiarowana przez Władysława Klugera ówczesnej Akademii Krakowskiej, późniejszej Polskiej Akademii Umiejętności.

Druga połowa XIX w. to jedyny w naszych dziejach okres rzetelnego zainteresowania naukowego Ameryką Południową. Spotykamy wówczas cały szereg nazwisk wybitnych Polaków, którzy z różnych powodów: politycznych, ekonomicznych i czysto naukowych tam się znaleźli i którzy swe doświadczenia przekazali naszemu społeczeństwu w formie artykułów i książek, a zebranymi kolekcjami wzbogacili polskie muzea. Wśród nich mamy przyrodników takich jak Konstanty Jelski i Jan Sztolcman. Wywędrowali oni na antypody, by zdobyć dla warszawskiego muzeum okazy fauny południowoamerykańskiej, a równocześnie pozostawili niezwykle interesujące dzieła o przyrodzie i ludziach krajów, gdzie przez wiele lat przebywali. Mamy dalej inżynierów jak Ignacy Domejko, towarzysz Mickiewicza, który (poza wieloma osiągnięciami naukowymi, pedagogicznymi i organizacyjnymi na terenie Chile) przyczynił się do poznania Ameryki Południowej w Polsce swą książką o „Araukanii i jej mieszkańcach”. Mamy wreszcie znacznie od niego młodszego Władysława Klugera, który pracując w Limie zbierał „starożytności peruwiańskie”. Zbiory swe później przekazał krajowi, by wzbogaciły naszą wiedzę o kulturach dawnych Indian.

Historię kolekcji Klugera możemy odtworzyć na podstawie archiwum i drukowanych sprawozdań Polskiej Akademii Umiejętności. Pod rokiem 1876 czytamy tam, że „Kluger Władysław, krakowianin, obecnie profesor w Instytucie politechnicznym w Limie, przesłał 3 skrzynie z 54 przedmiotami ze starożytnych grobowisk (huaca) peruwiańskich. W szczególności...” — i tu następuje wyliczenie tych przedmiotów. W dwa lata później, bo w r. 1878 czytamy o ofiarowaniu przez Klugera drugiego transportu liczącego 424 przedmioty. Dochował się spis kolekcji sporządzony przez L. Zieleniewskiego, który w imieniu Klugera wręczył ją Akademii, oraz odpis listu samego Klugera, gdzie podaje jej pochodzenie.

*

Tyle o dziejach kolekcji. Jaka jednak jest jej zawartość? Z jakim okresem historii Indian jest związana? Co nam mówi o ich kulturze?

Wszystkie przedmioty przysłane przez Klugera należą do kultur wybrzeża, większość do kultury Chimú, jaka rozwijała się na brzegu Pacyfiku na obszarze dzisiejszego Peru jeszcze przed wprowadzeniem prymatu politycznego i kulturalnego Inków.

Wybrzeże peruwiańskie na całej jego długości zalega piaszczysta pustynia, gdzie deszcze padają raz na kilkadziesiąt lat. Życie byłoby tu niemożliwe, gdyby nie rzeki spływające z pobliskich Andów. W ich dolinach, dzięki rozbudowanemu systemowi irygacyjnemu, od odległych już czasów kwitła uprawa roli. Celem mieszkańców tych dolin było takie rozprowa-

zenie kanałów nawadniających, by jak największe przestrzenie pustyni zamienić w ogrody i dlatego też wiele rzek w ogóle nie dopływa do morza oddając całe swe wody plantacjom. Miasta, świątynie, nekropole wznoszono już na pustyni, by nie marnować ani piędzi zdatnej pod uprawę ziemi.

Łagodny klimat i stała wilgotność nawadnianych pól pozwoliły na wielokrotne w ciągu roku zbiory; oddalenie od siebie oaz-dolin utrudniało spory i wojny. Ludność, która tu żyła, zażywała więc dobrobytu i pokoju i z czasem wytworzyła wysokie, nieraz prerafinowane kultury. Wyrazem łatwego i wygodnego życia jakie wiodła — są znajdowane do dziś wytwory, których duży procent to przedmioty luksusowe, przeznaczone wyłącznie do uprzyjemnienia życia, jak: ozdobne szaty, biżuteria, przybory kosmetyczne, naczynia ozdobne do picia napoi alkoholowych, narzędzia muzyczne.

Mieszkańcy oaz-dolin wykazywali słabe umiejętności organizowania się w większe jednostki administracyjne. Czasem jedna tylko dolina, a czasem kilka z nich łączyło się w niezależne państewka. Każde wytworzyło odrębną kulturę, były jednak okresy, że niektóre z tych kultur na pe-

wien czas opanowywały oazy sąsiednie, lub nawet całe wybrzeże. Prymat kulturalny takiego czy innego państewka nie musiał oznaczać ekspansji politycznej ani wojennej. Ponieważ ludność wybrzeża, prócz uprawy roli i doskonale rozwiniętych rzemiosł, z upodobaniem oddawała się handlowi, wystarczyło, by kupcy jednej z oaz roznieśli nowy styl artystyczny i wszczęli jego modę sąsiadom. Dlatego dziś znamy w archeologii wybrzeża style lokalne i style ogólnoperuwiańskie, które noszą nazwę dolin gdzie powstały, jakkolwiek wyroby w tym stylu wykonane możemy znaleźć o kilkaset kilometrów na północ czy południe od danej doliny.

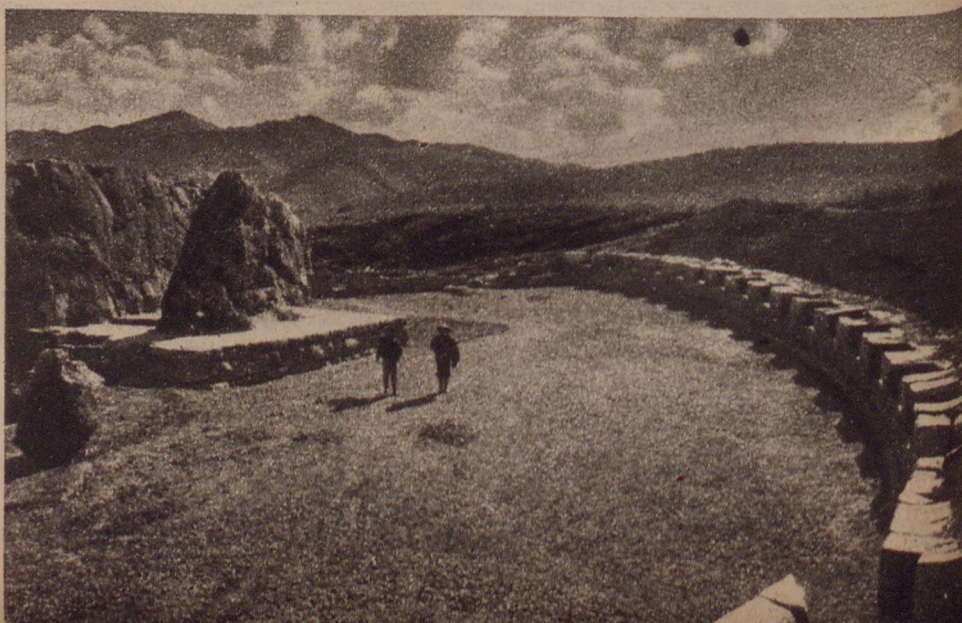
Po raz pierwszy w jeden organizm państwowy stopili całą tę plejadę państewek Inkowie, górale andyjscy, genialni organizatorzy imperium, jakie niewiele sobie równych znalazło w historii ludzkości. Inkowie też narzucili swój styl w sztuce, który aż do przybycia Hiszpanów zapanował na całym zlewisku Pacyfiku od Kolumbii po Chile.

Jak wspomniano, zarówno osady jak cmentarze ludności oaz znajdowały się już poza nawodnionymi dolinami. Wobec zupełnego prawie braku opadów, w suchym, drobnym piasku pustyni, w sposób wprost zdumiewający zachowały się nie tyl-



Machupicchu Cuzco. Ruiny starodawnej twierdzy Inków.

Kenko Cuzco. Pozostałości staroperuwiańskich budowli.





ko budowie z niepalonej cegły pokryte barwnymi malowidłami, ale i wyroby drewniane, plecionki z łyka, mumie ludzkie, nawet barwne szaty wełniane i bawełniane czasem przytkane kolorowymi piórami egzotycznych ptaków — nie mówiąc już o ceramice, metalu i kamieniu.

Zbiory Klugera pochodzą głównie z grobów i reprezentują różne działy wytwórczości ludzi wybrzeża. Najwięcej jest ceramiki. Mamy więc liczne naczynia w kształcie owoców, zwierząt, ludzkich głów i całych ludzkich postaci, mamy naczynia w kształcie ówczesnych domów, wreszcie podwójne naczynia z których jedno naśladowało ptaka, podczas picia płynu wydaje przeciągły świst — prawie wszystkie one przeznaczone do picia fermentowanych napoi alkoholowych. Są też ceramiczne figurki ludzi i lam składane do grobu zapewne jako ofiary zastępcze, zamiast prawdziwej lamy czy człowieka. Obok mumii ludzi dorosłych i dzieci, dziś zniszczonych (zostały z nich same prawie kości) są siatki z łyka w jakie mumie oplatanio, amulety z włóczki i malowane na płótnie, wreszcie bogaty dział ubiorów tkanych z wełny i bawełny. Subtelne barwy zachowały się na nich do dziś, a ornamenty w kształcie ptaków, zwierząt i ludzi zdumiewają poziomem sztuki tkackiego i charakterystyczną stylizacją. Są dalej ozdoby: wielkie krążki noszone w uszach, naszyjniki z paciorków i płytek macicy perłowej; przedmioty codziennego użytku kobiet, jak koszyczki z całym zestawem narzędzi do przędzenia i tkania: misternie malowane wrzeciona, igły, małe warsztaciki tkackie, nawet kłębki różnobarwnych nici. Obok nich cała kolekcja plecionych proc; wreszcie quipu, pismo węzłowe znane w państwie Inków, ale także w okresach poprzedzających jego powstanie.

Słowem byłoby co oglądać — gdyby to można było oglądać. Lecz niestety, zbiory nie są dostępne.

Wróćmy raz jeszcze do historii zbiorów. — Jak wiemy w latach 1876 i 1878 kolekcja Klugera przywędrowała do Polski. Po kilkunastu latach ciszy, jakie nastąpiły po jej przejeździe, zjawia się raz jeszcze w aktach i protokołach Zarządu Akademii Umiejętności z r. 1891, kiedy to Akademia decyduje się na ich wysłanie na wystawę urządzoną w Madrycie dla uczczenia 4-wiekowej rocznicy odkrycia Ameryki. Po powrocie z Hiszpanii zbiory na kilkadziesiąt lat spo-

czyły w skrzyniach złożonych w warunkach w najwyższym stopniu nieodpowiednich. Dopiero po pięćdziesięciu latach od przysłania, bo w r. 1927 doczekały się, dzięki inicjatywie doc. Tadeusza Reymana, pierwszego w Polsce wystawienia w jednej z sal Muzeum Archeologicznego Akademii. Do roku 1939 (data zamknięcia Muzeum przez okupanta) zbiory były dostępne dla publiczności. A dziś? Dziś w dalszym ciągu spoczywają w magazynach, w warunkach w każdym razie nie takich jakich należałoby sobie życzyć dla nich. Wiemy że sytuacja lokalowa wszystkich muzeów krakowskich, a w szczególności Muzeum Archeologicznego jest ciężka, ale czyż nie znajdzie się żadne rozwiązanie, żadna możliwość udostępnienia naszej publiczności tak ciekawej kolekcji? Polska, w przeciwieństwie do wszystkich innych większych krajów Europy, ma tak niewiele zbiorów zebranych poza granicami kraju, a już prawie zupełnie brak jej obiektów kultur amerykańskich. Czy możemy więc pozwolić na zamykanie w skrzyniach na dziesiątki lat tego co powinno stać się lekcją wiedzy o wygasłych kulturach Nowego Świata?

To chyba najważniejszy aspekt sprawy, ale jest i inny. Pamiętajmy, że w spisach Klugera mowa o dwu transportach liczących 54 i 424 przedmiotów, razem 478. Do dziś zachowało się 168 pozycji inwentarzowych. Co stało się z resztą? Część poginęła w czasie licznych przepakowań i przeprowadzek, spora część poprostu rozpadła się w pył. Liczne tkaniny, sznury, mumie i in. zabytki z materiałów organicznych zniosły co prawda kilkaset lat leżenia w piaszczystych grobach pustyni peruwiańskiej, nie zniosły jednak kilkudziesięciu lat przechowywania w piwnicach i magazynach muzealnych.

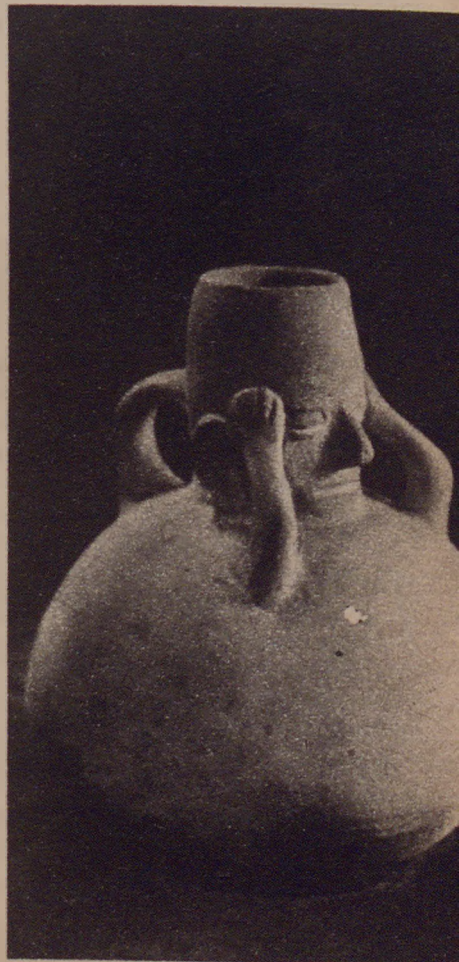
A poza wszystkim innym przykro i nieswojo robi się człowiekowi jeśli pomyśli, że przed blisko wiekiem nasz rodak kierowany miłością swego kraju i pragnieniem podniesienia jego kultury nie oszczędził czasu, wysiłków i pieniędzy by zgromadzić dla Polski bogatą kolekcję, że prowadził wykopaliska na bezwodnej pustyni w skwarze podzwrotnikowego słońca, że starannie pakował przedmioty, że wędrowały one potem bez szwanku przez wiele miesięcy poprzez dwa oceany na to — żeby później butwieć w wilgotnych magazynach muzealnych nikomu nie znane, choć mogły stać się tak pożyteczne.



Powyżej: Prawdziwa osobliwość! Podwójne, gliniane naczynie do alkoholu, wydające podczas picia przeciągły świst.



Obok: Ceramika peruwiańska często przybierała zoo- i antro-po-morficzne kształty. Naczynie gliniane w kształcie głowy.

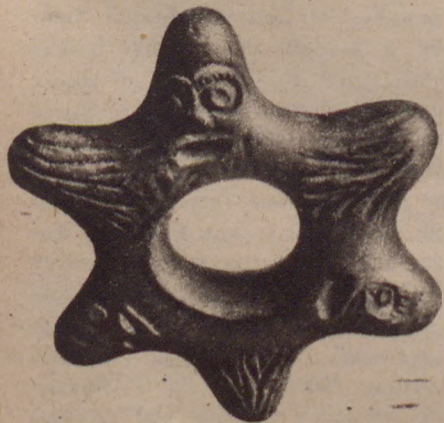


Na lewo: Zakończenie buławy wykonane z samorodnej miedzi. Taką właśnie buławę dzierży Inka na ilustracji z kodeksu Guaman Poma de Ayala.

Na prawo: Naczynie z nadmorskiej oazy przedinkaskiej.

Fotografie ze zbiorów Klugera wykonał A. Wasilewicz.

BVENGOBIERMO
DŌANDRESMAR



Tej samej nocy jeszcze, w której Tatarzy minęli słup graniczny, niebo zaczerwieniło się łunami, rozległy się wrzaski i płacz ludzi deptających stopą wojny.

Kto polską mową o litość umiał prosić, ten z rozkazu wodza był oszczędzany, ale natomiast niemieckie osady, kolonie, wsie i miasteczka zmieniały się w rzekę ognia, a przerażony mieszkaniowiec szedł pod nóż.

I nie tak prędko oliwa rozlewa się po morzu, gdy ją żeglarze dla uspokojenia fal wyleją, jak rozlał się ów czambuł Tatarów i wolentarzy po spokojnych i ubezpieczonych dotąd stronach. Zdawało się, iż każdy Tatar umiał się dwoić i troić, być naraz w kilku miejscach, palić, ścinać. Nie oszczędzano nawet łąnów zbożowych, nawet drzew w sadach.

(Potop)



T A D E U S Z
G R Y G I E R

ECHA WYPRAWY GOSIEWSKIEGO

Literatura i propaganda niemiecka wykorzystywały mazurską kampanię hetmana Gosiewskiego w latach 1656—57 jako argument antypolski; w mniemaniu wielu autorów niemieckich miała ona być dowodem niechęci do polskiego wojska i dowództwa polskiego z życiem i interesami ludności mazurskiej. Z drugiej strony także i działacze polscy niechętnie omawiali tę sprawę — a przyczyn owej niechęci szukać by należało zarówno w fakcie udziału Tatarów w akcji wojsk polskich, jak i przekonaniu o politycznej szkodliwości akcji Gosiewskiego, który rzekomo mścił się miał na Mazurach za zdradę kurfirsta brandenburskiego w czasie najazdu szwedzkiego.

Sądzić można, że ujęcie takie jest błędnym zacieśnianiem problemu. Przebieg wojny szwedzkiej był na Mazurach straszny i rzeczywiście spustoszenia wojenne tego regionu wzmogły się znacznie w czasie kampanii Gosiewskiego — jednak stany pruskie podkreślały zawsze, iż winę ponosi za to sam kurfirst, którego żołnierze odnosili się do ludności miejscowej nie mniej wrogo, niż Szwedzi i sprzymierzeni z Polską Tatarzy. A podkreślić należy także i to, że groza ówczesnych wydarzeń — nie zatarta nawet późniejszą wojną siedmioletnią — nie zdołała w ludowej tradycji mazurskiej zatrzeć śladów sympatii dla dwóch bohaterów wydarzeń 1656—57 — hetmana polnego Gosiewskiego, oraz namiestnika królewskiego Bogusława Radziwiłła; ta sama tradycja pochlebnie mówi o zachowaniu się oddziałów polskich w stosunku do ludności.

Jak przedstawiały się fakty historyczne? W momencie ataku szwedzkiego na Polskę kurfirst nie chciał zrywać wszelkich więzów z Polską; atak ten stwarzał natomiast sytuację dogodną dla urzeczywistnienia jego planów, zmierzających do uzyskania połączenia

Prus Książęcych z Brandenburgią przez opanowanie Warmii, obsadzenie niektórych miejscowości nad Notecią, Wartą i Wisłą. Kurfirst myślał również o Prusach Królewskich i Litwie, jako terenie swojej ekspansji — i właśnie na tle owych apetytów doszło do gwałtownych nieporozumień pomiędzy nim i Szwedami (rokowania w Szczecinie latem 1655), którzy pragnęli zająć nie tylko Prusy Królewskie, ale także i Warmię, a na czas wojny obsadzić chcieli także Klajpedę. Okazuje się więc, że Szwecja jest zbyt niepewnym sojusznikiem kurfirsta — w wyniku czego we wrześniu 1655 r. prowadzi on już rokowania z Gdańskiem, stanami pruskimi i biskupem warmijskim na temat utworzenia bloku antyszwedzkiego. 12 listopada 1655 r. sojusz ten dochodzi do skutku i Sapieha przyrzeka kurfirstowi pomoc w postaci 15.000 wojska. W odpowiedzi na to Karol Gustaw poczyna na terenie Prus Książęcych wzniesienie wań wyznaniowe i socjalne, kierując luteranckich chłopów przeciwko arystokracji kalwińskiej a wreszcie wkracza z wojskiem, stając kwaterą w Sępólnie. Mimo wiadomości o powstaniu w Polsce i wycofywaniu się wojsk szwedzkich w stronę Warszawy — kurfirst, zagrożony bezpośrednio obecnością Szwedów — zawiera dnia 17 stycznia 1656 r. w Królewcu układ, mocą którego zgadza się złożyć hołd lenny Karolowi Gustawowi z terytorium Prus i Warmii. Decyzja ta wywołała opozycję stanów pruskich; „partia polska” kierowana przez Schwerina, Hoverbecka i Bogusława Radziwiłła wysuwa koncepcję powołania kurfirsta na tron polski — czemu z kolei sprzeciwia się „partia szwedzka” z gen. Sparrem. W konsekwencji wojska szwedzkie, wyczuwając niepewną sytuację — poczęły zachowywać się w Prusach, jak we wrogim kraju — to zaś pociągnęło za sobą

dalsze następstwa. Już w początkach 1656 r. większość chłopów uciekła w lasy, na przedwiośniu sytuacja stała się katastrofalna: w wojsku zapanował głód, brakło środków transportu i paszy, tworzyły się bandy rabunkowe. W połowie 1656 r. armia szwedzka rozprzegła się zupełnie, Prusy Książęce zaroily się od maruderów, rabunki, kradzieże i gwałty były na porządku dziennym.

Gdy 1 lipca Warszawa znalazła się w rękach polskich, a wojska szwedzkie cofały się nadal — „partia polska” poczęła doradzać kurfirstowi zerwanie ze Szwedami; w rokowaniach z Polską pośredniczyć miał hetman polny Gosiewski, zatrzymany przez Szwedów w Królewcu jako zakładnik, zaś sprawę ułatwić miały stany pruskie, które zawsze przychylnie były związkowi z Polską. Już 6 czerwca Gosiewski pojawia się niespodziewanie w obozie Jana Kazimierza, zaś w niedługi czas potem Schwerin i Bogusław Radziwiłł udali się do Tylży dla pertraktacji z przedstawicielami króla polskiego. Kurfirst obawiał się jednak wzmocnienia pozycji stanów pruskich, sprzeciwiał się planom Schwerina i Radziwiłła i zawarł traktat ze Szwedami. W Polsce uznano ten krok za powtórny zdradę, żądano podjęcia zbrojnej wyprawy na Prusy. Gosiewski był przeciwny tym projektom — w końcu jednak otrzymał rozkaz przeprowadzenia wyprawy odwetowej na czele czterdziestotysięcznego wojska, w skład którego wchodziły także chorągwie tatarskie. Sierpień i wrzesień upłynęły na przygotowaniu operacji.

Wyniszczone przez Szwedów i Brandenburczyków Mazury i Warmia nie były gotowe do obrony. Gdy 8 października Gosiewski zaatakował pod Prostkami armię szwedzko-brandenburską — bitwa przemieniła się w katastrofę. Przeciwnicy Gosiewskiego stracili 7000 ludzi, w ręce polskie wpadły

tabory, amunicja, 6 armat i 60 chorągwi. Prawie wszyscy oficerowie szwedzcy dostali się do niewoli, sam Bogusław Radziwiłł został ujęty przez Tatarów, z rąk których wykupywać go musiał potem sam Gosiewski. W tradycji mazurskiej klęska szwedzko-brandenburska pod Prostkami była straszniejsza i większa, niż klęska krzyżacka pod Grunwaldem.

Gosiewski ruszył na Królewiec, sforsował wały obronne pod Ostrym Kolem na północ od Prostek i zajął Elk. Miasto z wyjątkiem kościoła i szkoły prowincjonalnej zostaje spalone. Z Pisanicy ludność wraz ze swym pastorem Mateuszem Trentoviussem uciekła do Polski, znajdując tam schronienie. Z całego Grabnika pozostał tylko kościół, w którym jeszcze w początkach w. XX przechowywano przestreloną przez Tatarów chorągiew. Rzecz warta uwagi, że ze szczególną zaciekłością atakowali Tatarzy protestanckich Mazurów. Niechęć ta objawiała się niekiedy w sposób dość osobliwy. W Kalinowie, pastora Wojciecha Baranoviusa ubrali w skórę barania — stosownie do jego nazwiska; ową skórę wraz z rogami przechowywał podobno pastor aż do śmierci i w niej został pochowany. W Cichach zobaczyli Tatarzy w kościele obraz Matki Boskiej i nie spalili go, sądząc, że to kościół katolicki. Protestancki diakon Rhode uratował się, wkładając strój polski. Zresztą sami żołnierze polscy starali się powstrzymać Tatarów i np. bronili przed nimi pastora Krzysztofa Kozika z Lisewa.

Z kolei armia Gosiewskiego przeszła na teren powiatu oleckiego, zdobywając Olecko, a następnie Pisz. Przy zdobywaniu Pizsa pomagała Gosiewskiemu miejscowa szlachta pod dowództwem Milewskiego; równocześnie wielu mazurskich chłopów z powiatu piskiego przeszło na stronę wojsk polsko-tatarskich i razem z nimi walczyło

przeciwko Szwedom i Brandenburczykom. Gdy 21 października Pisz dostał się w ręce wojsk brandenburskich — gen. Waldeck, dowódca brandenburski aresztował skonfederowaną szlachtę, a w stosunku do walczących po stronie polskiej mazurskich chłopów stosował ostre represje: po skończonej wojnie stanęli oni przed sądem pruskim w Pieszku. Padły ciężkie wyroki. Po zdobyciu Pieszki ruszył Gosiewski dalej, jednak okres sukcesów skończył się. Pod Filipowem wojska ugrzęzły w bagnistym terenie; równocześnie wojska brandenburskie gen. Waldecka połączyły się z armią szwedzką gen. Steinbocka. W bitwie stoczony 22 października 1656 r. Gosiewski został pokonany, Bogusław Radziwiłł uwolniony z polskiej niewoli, zaś dla Mazur rozpoczęła się nowa tragedia. Czego nie zniszczyły wcześniejsze wypadki wojenne i pochód wojsk Gosiewskiego — padło teraz ofiarą wojsk szwedzkich; szczególnie ucierpiał Wydminy i Straduny.

Pokonanie Gosiewskiego nie zakończyło bynajmniej walk na Mazurach i Warmii. 21 listopada 1656 r. pruski starosta ze Szczytna powiadamia, że „Mazowszanie w dalszym ciągu atakują”; zimą 1656/57 r. zagrożone są przez Polaków Nidzica i Pisz, zagony polskie docierają do Pasymia, zajęte zostaje Wielbark i Jeziorany. W styczniu 1657 r. uderza na Mazury i Warmię nowa ekspedycja polska pod dowództwem Sapichy, docierając do Wystrucia, Węgorzowa i Goldapu. Woj-

ska Sapichy wycofują się wprawdzie, ale już w lutym Polacy zdobywają ponownie Białą Piską i Ryn, potem kolejno Giżycko, Węgorzewo, Goldap, Ragnetę, Srokowo i Kętrzyn. Bezpośrednio zagrożonego Królewca nie zajęto podówczas, mimo istnienia realnych szans powodzenia, powiększonych faktem antybrandenburskich akcji wojsk szwedzkich, które — niezadowolone z rokowań kurfirsta z Polską — zajęły wiosną 1657 r. Morąg, Kwidzyn, Miłomłyn i Prabuty.

W wyniku walk i szerzących się w warunkach wojennych epidemii zmarło na Mazurach i Warmii 80.000 ludzi. 34.000 ludności cywilnej i 11.000 żołnierzy znalazło się w niewoli tatarskiej. Groza wojny, werbunki, kwaterunki, przemarsze wojsk, palenie osad, gwałty i choroby wyczerpały ludność i odcisnęły się trwałym piętnem w tradycji miejscowej. Przez długi czas, bo aż do początków nowego stulecia, obchodzono uroczyste na Mazurach i Warmii dzień 3 maja, jako rocznicę zawarcia pokoju oliwskiego w r. 1660. Jeszcze w 1756 r. gazeta królewiecka zamieściła relację 110-letniego Michała Grigo ze wsi Petkowy. Tradycje zwycięstw Gosiewskiego utrwalił Lęgnich i Wojciech Kojatowicz w swojej „Historia Lithuaniae”; sfinansowane pod Ostrem Kolem wały obronne długo nazywane były w tradycji mazurskiej Wałami Tatarskimi — i jako takie zanotowane są przez kronikarza Lucanusa. Z płonącego Pasymia uciekł w 1656 r. jako 12-letni chłopak póź-

niejszy historyk Hartknoch, opisujący potem swą ucieczkę w łacińskiej elegii. Powstało wiele pieśni, wspominających wojnę i sławiących jej zakończenie — i wiele opowiadań ludowych, czerpiących tematykę z historycznej tradycji.

Przez cały wiek XVIII wypadki opisane pokrótce w tym szkicu, oceniane były na Mazurach w sposób obiektywny — i odium ludności mazurskiej za nieszczęścia i grozę lat 1655—1660 spadało na kurfirsta, jako głównego sprawcę wypadków. Zdawano sobie w pełni sprawę, że pochód wojsk Gosiewskiego był tylko fragmentem akcji wojennej, żywe były wiadomości o zdecydowanie wrogim nastawieniu wojsk szwedzkich i brandenburskich do ludności mazurskiej, popełnianych przez nie nadużyć i nieszczęściach, których były sprawcami. Na tym tle obiektywnej wagi nabierają relacje o niewątpliwych okrucieństwach popełnionych przez oddziały tatarskie — i opinie o zachowaniu się wojsk polskich i ich dowódców, których nazwiska tradycja wspominała w sposób nadspodziewanie życzliwy — jak na okropną scenę wypadków. Rozumiano, że pochód Gosiewskiego nie był akcją skierowaną przeciwko ludności mazurskiej — choć siłą rzeczy ona właśnie dźwigała na sobie ciężar grozy; zdawano sobie sprawę, że nie byłoby ani akcji polskiej, ani pochodu tatarskiego, ani związanych z nimi nieszczęść, gdyby nie potop szwedzki i zdrada Brandenburgii.



ŚWIADKOWIE WIELKICH O D K R Y Ć

Z Y G M U N T B R O C K I

W naszym dawnym handlu zamorskim pierwszorzędne znaczenie miało drewno. Eksport tego artykułu istniał już w XIII wieku. Odbiwał się on przez Gdańsk, dokąd drewno spławiano Wisłą z różnych okolic Polski; w XIV i XV wieku głównie z południowych nad Narwią i Bugiem okolic Mazowsza i Podlasia.

Spław ten i handel bardzo się rozwinął w XV wieku. Na przykład w roku 1415 port gdański i oba brzoży Wisły pod Gdańskiem zawalone były drewnem przeznaczonym na eksport do Anglii, Szkocji i Portugalii. W przywileju Kazimierza Jagiellończyka dla Gdańska z roku 1457 na sprzedaż towarów z Polski — na pierwszym miejscu wymieniono drewno i inne płody leśne (popiół, potaż, wosk, smoła itd.).

Najwięcej drewna szło do Anglii, co się potęgowało w miarę zmniejszania się lesistości tego kraju. Handel ten był tak ożywiony, że już w XIV wieku między portami angielskimi a Gdańskiem były nawet regularne linie okrętowe (przewoziły one także zboże i popiół).

Wielkie zapotrzebowanie na polskie drewno doprowadziło z czasem do znacznego przetrzebienia naszych lasów i borów. Już w XVI wieku na pierwszym miejscu w naszym eksporcie zdecydowanie stoi zboże. Han-

del drewnem, choć nadal poważny, jednak maleje. Anglia, od czasu zdobycia własnych kolonii, zaczęła tam właśnie zaopatrywać się w drewno, co oczywiście zmniejszyło import z Polski. Zresztą i inne kraje zachodnio-europejskie, na przykład Holandia, również zdobyły kolonie i tym samym mniej potrzebowały naszego drewna.

Wywóz drewna z Polski obejmował różne jego rodzaje: sosnę, dąb, jodłę, świerk, modrzew, cis. Cis, nadający się doskonale do wyrobu kuszy i łuków — dzięki swej twardości i giętkości — sprowadzała z Polski Anglia. Sprzedawano jej także łuki z cisu, wyrabiane w Gdańsku. Słynni w całej Europie łucznicy angielscy 26 sierpnia 1346 roku w wielkiej bitwie pod Crécy-en-Ponthieu nad rzeką Maye walczyli się przyczynili do klęski świetnych, silniejszych liczebnie wojsk francuskich Filipa VI. Można więc przypuszczać, że w tej bitwie, jak i w innych bitwach wojny stuletniej, brały udział właśnie nasze polskie cisy; były one świadkami prawdziwej katastrofy rycerstwa feudalnego, za jaką uważana jest bitwa pod Crécy. Do Gdańska szły wielkie ilości drewna cisowego. Z rejestrów komory celnej na Wiśle we Włocławku wiemy, że w latach 1537—1576 przechodziło przez tę komorę około 150 centów, czyli 18 000 sztuk

desek (cent = 120 sztuk). Z chwilą wynalezienia broni palnej wywóz cisu ustał: listy celne we Włocławku nie notują go już w końcu XVI wieku.

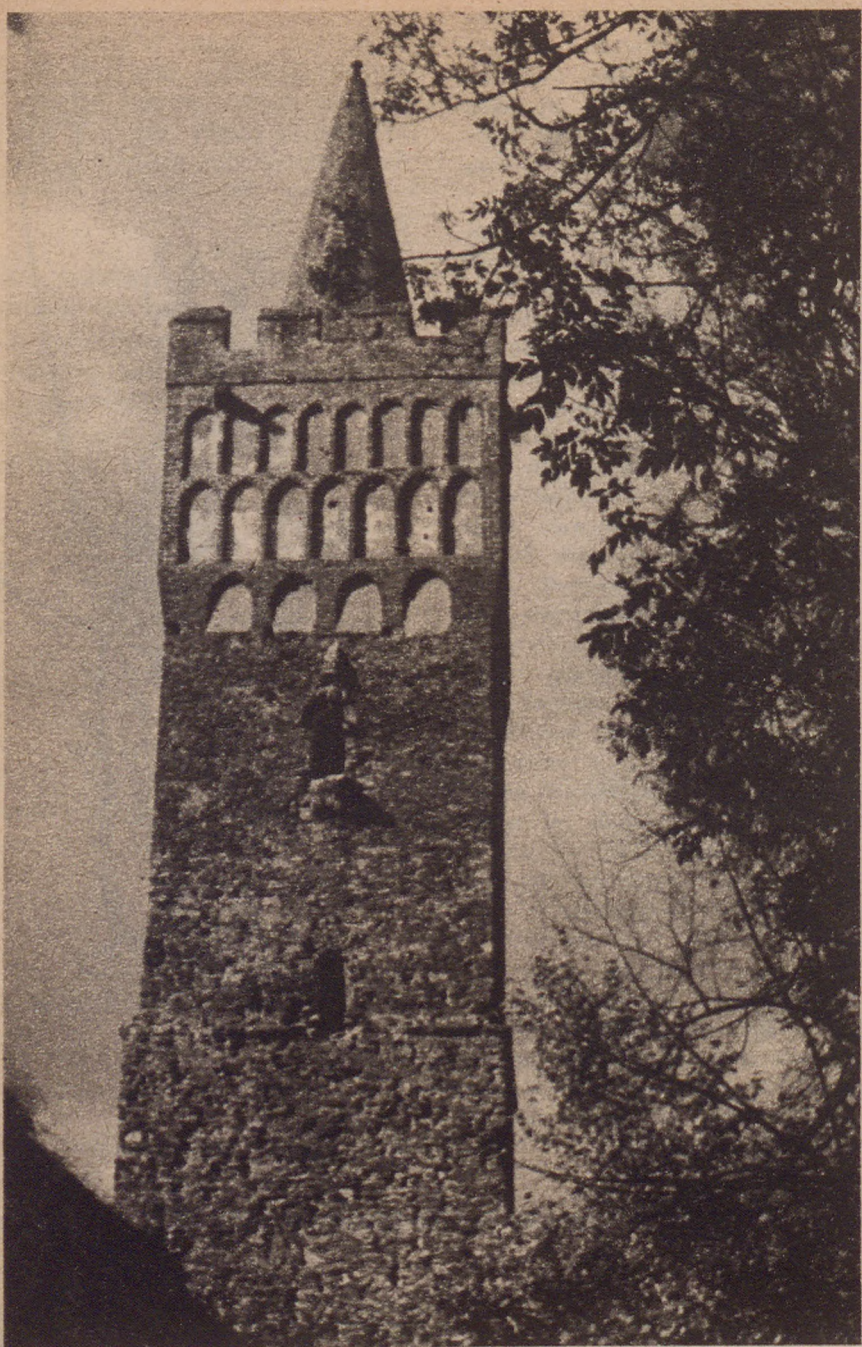
Eksportowaliśmy drewno pod różnymi postaciami: jako deski, bale, drewno opałowe, stolarskie i do budowy okrętów, w tym masztowinę. Wielką rolę w eksporcie odgrywało właśnie drewno do budowy okrętów, które w całej zachodniej Europie było bardzo cenione i chętnie nabywane. Polskie sosny i dęby szły na maszty i reje do stoczni ówczesnych potęg morskich. Ponieważ była to epoka wielkich odkryć geograficznych, można śmiało twierdzić, że polskie sosny, wbudowane jako maszty w okręty żeglarzy-odkrywców, były niemyymi świadkami owych odkryć i pierwsze oglądały dalekie, nieznanne lądy.

Ze względu na swą długość i wytrzymałość, sosny polskie umożliwiały wyrób masztów z jednej sztuki, bez złożenia z dwóch lub trzech części. Stąd też pochodzi nazwa „polski maszt”, po niemiecku *Polaker Mast*, znana wówczas także w innych krajach w Niemczech, Holandii, Danii, Norwegii oraz we Francji, Hiszpanii i Włoszech. Stąd z kolei pochodzi nazwa okrętu handlowego o masztach z jednej sztuki drewna: „pol-

ski okręt”, znana we wszystkich językach tych krajów. *Polaker* (niem.), *polaker* (norweski, duński), *polack* (holenderski), *polacia* lub *polacre* (hiszp.). Nazwy te zachowały się aż do końca ubiegłego stulecia.

W wieku XV zaczęliśmy eksportować drewno także do Szkocji. I tu eksport obejmował głównie surowiec okrętowy. Nasze drewno sprowadzane przez Hiszpanię i Portugalię szło też do stoczni na budowę okrętów. Handel z Portugalią koncentrował się w Lizbonie, gdzie polskie drewno okrętowe miało uprzywilejowane stanowisko. Jeden z naszych historyków drugiej połowy ubiegłego stulecia, prof. Adolf Pawiński, przeszukając archiwa w Madrycie i Lizbonie, natrafił na ciekawe relacje tamtejszych kupców z pierwszych lat XV wieku o handlu polskim drewnem na budowę okrętów i na maszty oraz o drodze, którą ono wędrowało. Wymieniono tam mianowicie spław Narwią z Puszczy Białowieskiej, Kurpiowskiej i innych lasów dorzecza tej ważnej wówczas drogi żeglownej oraz spław Wisłą do Gdańska, wielkiego ośrodka handlu drewnem na Bałtyku. Nasze drewno wędrowało także na odległe Morze Śródziemne, do słonecznej Italii, zwłaszcza do Genui i Wenecji. Handel drewnem z Włochami rozwinął się w końcu XVI wieku, był jednak krótkotrwały.





MIASTEczKO Z BAJKI

Romantyczny tytuł — prawda? Ale to nic. Nie przeszkodzi segregacji faktów historycznych, skrótowej wędrówce od daty do daty, cytowaniu nazwisk. Nie sposób ominąć balastu dziejów — bo Paczków żyje historią. Więcej — jest samą historią przechowaną niewiadomym cudem aż do dziś jak pod kloszem.

Ale najistotniejsza jest jego uroda; nie daty i nie nazwiska. Paczków jest spokojny, piękny, zaspany, trochę nierzeczywisty. Właśnie — takie miasto z bajki. I trochę z nieprawdziwego zdarzenia.

Wszystko tu wiąże się w jeden łańcuch; nie brak w nim ani jednego ogniwa. A co równie ważne — nie ma i banału. Bo Paczków nie powstał i nie rozwijał się wedle zwykłego schematu dyktowanego motywami gospodarczymi. Omijał go wyraźnie ważny szlak sudecki, wiodący przez Nysę, Otmuchów, Kamieniec i Zgorzelec, a wiodący przezeń trakt na Kłodzko i Ziębice nie posiadał większego znaczenia handlowego. Gdy w 1254 r. biskup wrocławski Tomasz, na zachód od Starego Paczkowa, pradał osady związanej z otmuchowskim grodem kasztelańskim, lokował na prawie flamandzkim obecny Paczków — decydowały motywy zgoła inne, bo militarne. Szło mianowicie o postawienie na granicy posiadłości biskupich warowni, która wspólnie z Nysą i Otmuchowem broniłaby księstwa na linii Nysy Kłodzkiej. Osada paczkowska bardzo szybko zmieniła się w miasto — i to miasto specjalnie silnie ufortyfikowane.

Paczków żył wojną — i po trosze dziwaczał przez wojny. W 1428 spalili go i spustoszyli husyci. Gdy odeszli — rozpoczęła się i trwała przez cały wiek XV opętana płątnina walk rozdrobnionych Piastów śląskich, szukających dla siebie szans władzy na ziemi, która nie wystarczała ich ambicjom. Paczków — od 1350 opasany przez biskupa Przecława nową, podwójną linią murów obronnych i fosami, najeżony trzydziestoma basztami w pasie wewnętrznym i trzema o wiele potężniejszymi w pasie zewnętrznym — stał się warownią;

przede wszystkim warownią. Był miastem nie dla mieszczan. Już w wieku XIV uciekali oni z tego wiecznie obleganego miasta, gdzie ni targu nie bywało, ni jarmarków, a w w. XV cechy rzemieślnicze przestały tu w ogóle istnieć.

Odżyli mieszczenie dopiero w renesansie. W 1516 ustanowiono pierwsze jarmarki, zaczęło się normalne mieszczańskie życie i nie minęło wiele czasu, a dorobiło się miasto dóbr ziemskich — wsi Kamienicy i Gościcy, folwarku w Starym Paczkowie. W 1533 zanotowano istnienie 6 cechów rzemieślniczych, w 1594 — już 11. Szły paczkowskie wyroby sukienicze do Czech i na Morawy. I już w początkach w. XVI biskup Jan Turzo udostępnił mieszczanom swoje kamieniołomy w Chałupkach; równocześnie powstała cegielnia miejska — w 1548 plac Targowy i pięć ulic ma już zwartą zabudowę murowaną, w 1579 całe śródmieście jest już zabudowane, pomiędzy rokiem 1517 a 1620 ludność wzrasta w dwójnasób.

Niedługo to trwało. Nie mógł się Paczków wybronić przed swoim „fortecznym powołaniem“. Z tych samych kamieniołomów i z tej samej cegielni brano ustawicznie materiał dla umocnienia i rozbudowy kompleksu obronnego — a nowy przywilej targowy otrzymało miasto w 1538 tylko dlatego, by mogło podjąć kosztom utrzymania i modernizacji obwarowań. Nie dla innych też przyczyn farę — potężną jak forteca w swej zwartej bryle — przebudowano po 1520 w kształt bardziej jeszcze obronny, znosząc stromy gotycki dach i wieńcząc ją





attyką, dziwnie zbliżoną do rozwiązań spiskich.

No i przyszła ta wojna, do której tak starannie przygotowywano miasto-warownię. Długa, trzydziestoletnia wojna. Nie przetrzymał jej Paczków. Kilkakrotnie plądrowany spłonął w 1634. I nigdy się już nie podniósł. Za ledwie 800 mieszkańców żyło tuż po wojnie w nadrujnowanej warowni. Próbowali ratować miasto. Mało — wiele dało się uzyskać; tyle, że w połowie w. XVIII mieszkało tu 1500 obywateli — o tysiąc mniej, niż w 1620. Coś tam próbowano ruszyć w rzemiosło, w w. XIX uruchomiono dość żałosny w swych rozmiarach przemysł: jakaś wytwórnia świec, fabryczka sprzętu pożarniczego i dla przeciwieństwa — fabryczka zapalek.

Miasto już wtedy było ciche, zastygłe w niepotrzebnej urodzie rozbitej warowni. Zaczęli tu zjeżdżać emeryci-rentierzy, bo miasto było piękne, spokojne i tanie. I wreszcie po pierwszej wojnie światowej znalazło sobie nowe źródło utrzymania: turystów.

Tak, właśnie z turystyki żył Paczków do 1939 roku. I żył nieźle. Znały go wszystkie Baedekery i sporo grosiwa z kieszeni obcokrajowców utonęło w tym rentierskim mieście.

Wojna 1939—1945 nie naruszyła go. Dziś — czeka. Czeką ze swoimi murami obronnymi — jedyne w Polsce miasto, które zachowało je w takim komplecie — ze swoją forteczną farą zwieńczoną wojowniczym grzebieniem attyki i mocną, prześliczną w proporcjach wieżą o seledynowym hełmie. Z basztami obron-

nymi i murami, z ratuszem haniebnie przebudowanym, ze zrujnowanym kościółkiem cmentarnym, z domami mieszczkańskimi.

Paczków czeka — i wali się. Jest pusty, cmentarnie pusty. Wciąż jeszcze niepokojąco piękny — i coraz bardziej podobny do makiety. Bo przecież istnieją tu nie tylko wolne mieszkania; istnieją szeregi domów — całe pierzeje uliczne — podparte drągami, straszące pustymi oczodołami okien.

Miasto z baśni? Tak. Na pewno. Nie ma takiej pory roku, ani pory dnia, w której to zdumiewająco piękne miasteczko nie potrafiłoby zaprezentować swojej urody — za każdym razem innej. Za każdym razem inaczej gra czerwień spatinowanej cegły, seledyn hełmów, cienie na szczytach domów, mrók i światło w krętych uliczkach. Ale równocześnie nie wiele czasu trzeba na zorientowanie się, że to miasto z bajki w znacznym, zbyt znacznym procencie jest także makieta, makabrycznym teatrem walących się fasad podpartych kijami.

Paczków jest urbanistycznym i architektonicznym unikatem. Jest ponadto miastem, które przy braku większego przemysłu lokalnego — potrafiło przed wojną zarobić na siebie, a bezpośrednio po wojnie zaludniło się w bardzo szybkim tempie. Domy nie będą się walić, jeśli wejdą do nich ludzie. Ludzie wejdą, gdy da się im szanse życia. Gdy ruszy rzemiosło, drobny handel, usługa, hotelarstwo, turystyka — miasto przestanie być cmentarzem. Trzeba ratować miasto. A warto, po stokroć warto je uratować.

Na lewo: Mury obronne Paczkowa. Silnie ufortyfikowane miasto strzegło posiadłości biskupów wrocławskich.

Powyżej: Wylot uliczki przy kościele iarnym.

Powyżej na prawo: Jedna z uliczek.

Obok: Zabytkowe kamieniczki w rynku.

Poniżej: Forteczną farę wieńczy górą attyka i wieża o seledynowym hełmie.

Zdjęcia W. Plewiński i L. Marchaj.

Poprzednia strona u góry: Baszta Wrocławska w Paczkowie. Na dole: Rynek paczkowski. W głębi kościół iarny.





STARA SYNAGOGA

IZABELLA DUBIKÓWNA

W kompleksie zaniedbanych, chaotycznych zabudowań, w otoczeniu wąskich uliczek kazimierskiego ghetta, stara synagoga jest niewątpliwie obiektem zatrzymującym wzrok przechodnia.

Zrujnowana w czasie ostatniej wojny, długo pozostała zapomniana. A przecież jest to nie tylko najstarsza budowla dawnej dzielnicy żydowskiej na Kazimierzu, ale również najstarszy zachowany zabytek tego typu budownictwa sakralnego w Polsce. Jest to budowla pod względem stylu niejednolita. Pomijając liczne przybudówki z różnych czasów sam główny korpus również uległ przekształceniu. Znikoma wręcz ilość materiałów źródłowych i notatek kronikarskich w znacznym stopniu utrudnia tak odtworzenie historii jej powstania, jak też systematycznych przeobrażeń jej architektury.

Na podstawie zachowanych z pozostałości i przebudowań niektórych elementów architektonicznych oraz w wyniku badań poszczególnych wątków murów, można stwierdzić i datować jej pochodzenie na przełom wieku XIV i XV. Wzniesiona została prawdopodobnie staraniem emigracyjnego odłamu Żydów czeskich, którzy po pogromie praskim w r. 1389 — znalazłszy schronienie w Polsce — osiedlili się w znacznej części w Krakowie. Na związek

z Czechami wskazywałby również charakter dwunawowej budowli hallowej, nakrytej sklepieniem gotyckim wspartym na dwóch kolumnach — niesłychanie bliski XIV-wiecznej synagodze praskiej.

Na przestrzeni wieków synagoga kazimierska wielokrotnie płonęła i często też była przebudowywana. Wielki pożar w r. 1557 niewiele oszczędził z pierwotnej gotyckiej budowli, niszcząc ją prawie doszczętnie. Ponownie zostaje odbudowana około r. 1570 w duchu renesansu przez architekta pochodzenia włoskiego Mateusza Gucci'ego, którego dziełem są renesansowe kolumny wewnątrz, dźwigające gotyckie sklepienie oraz zewnętrzna attyka. Po tej przebudowie los jej również nie sprzyjał. Przebudowywana i rozbudowywana w zależności od możliwości i potrzeb rozrastającej się stale gminy żydowskiej, zatracala coraz wyraźniej czystość stylu. Rekonstruowano ją również około roku 1860, a ostatecznie przebudowano na początku obecnego stulecia. W wyniku tych zmian za jedynie zabytkowe fragmenty można było uważać zewnętrzną attykę i wnętrze.

W czasie okupacji hitlerowskiej bóżnica kazimierzowska początkowo została użyta na magazyn złomu, następnie służyła jako pomieszczenie dla warsztatów niemieckiego teatru. Po wycofaniu się okupanta w 1945 r.

uległa kompletnej dewastacji. Wydarto nawet marmurowe płyty posadzki. Wnętrze zamieniło się w śmietnik. Wiekowe, ręcznie kute żelazne wrota i stare skarby zżerała rdza. Zapomniano o historycznych tradycjach związanych z synagogą. W niej to w r. 1794 Tadeusz Kościuszko przemawiał do tłumnie zgromadzonych Żydów kazimierskich. Tutaj wygłosił swoje polityczne credo rabin patriota Dow Ber Meisels, uczestnik powstania styczniowego, który w r. 1846 wzywał Żydów pod broń. Mury te pamiętają wreszcie salwy karabinowe wymierzone w Polaków w r. 1944.

Z uwagi na to, w trosce o cenny zabytek wszczęto w listopadzie 1955 roku staraniem Społecznego Funduszu Odbudowy. Zabytków miasta Krakowa pierwsze kroki zmierzające do uporządkowania tego budynku. Zabezpieczono przede wszystkim całość gmachu i zwieziono część materiału budowlanego. Prace dokumentacyjne wraz ze szczegółową inwentaryzacją zabytku i kosztorysem wykonała ekipa inżynierów z Pracowni Konserwacji Zabytków w Krakowie pod nadzorem inż. Jamroza. Projekt został opracowany przez inż. J. Ptaka. Z wiosną 1956 r. komórka wykonawcza Pracowni Konserwacji Zabytków zagospodarowała plac pod budowę i przystąpiła do generalnej rekonstrukcji obiektu.

Po komisyjnym, szczegółowym zbadaniu murów z punktu widzenia ich statyki i wytrzymałości (na ciśnienie z góry) — uzupełniono nadszczerbione mury magistralne hali głównej, wycerowano słabe, nadwątlone ubytkami partie znosząc równocześnie nową, szpecącą rysunek bryły wieżyczkę hendłowską w narożniku północno-wschodnim. W dalszym ciągu prac wzniesiono nową wieżbę dachową, którą pokryto blachą cynkową oraz dźwignięto renesansowe kolumny. Równolegle biegły prace kamieniarskie nad rekonstrukcją rzeźbiarskich elementów architektonicznych.

Tendencją architektów-wykonawców jest wydobycie najszlachetniejszej i najwierniejszej formy pierwotnej, tak poszczególnych elementów architektonicznych, jak też całokształtu bryły plastycznej przez oczyszczenie zabytku z naleciałości XIX i XX w.

Nadmienić jeszcze należy, że w czasie przeprowadzania badań tynków przez PKZ odkryto w starej bóżnicy w kilku miejscach fragmenty fresków XVII i XVIII-wiecznych o motywach kwiatowo-roślinnych i geometrycznych.

W bieżącym roku zostaną przeprowadzone dalsze prace nad sztukaterią i wykończeniem wnętrza, które będzie wkrótce pomieszczeniem dla Muzeum Judaistycznego.



Tak wyglądała synagoga przed rozpoczęciem prac restauratorskich. Zdjęcie powyższe i na poprzedniej stronie wykonał W. Plewiński.



Fragment z zamurowanymi schodkami. Fot. Zb. Łagocki.

Odbudowane sklepienie gotyckie, przed otynkowaniem.



POLSKIE TOWARZYSTWO MIŁOŚNIKÓW NAUK O ZIEMI

Przed laty dwudziestu pięciu powstało Towarzystwo Muzeum Ziemi. Było to stowarzyszenie miłośników geologii i nauk jej pokrewnych, które postanowiło utworzyć w Polsce nowoczesne muzeum geologiczne. Od pierwszych chwil istnienia Towarzystwa gromadzono zbiory, organizowano posiedzenia naukowe oraz popularne odczyty i wycieczki, założono pierwsze w Polsce archiwum historyczne nauk o Ziemi i bibliotekę. W roku 1948 Muzeum Ziemi zostało upaństwowione a Towarzystwo przestało istnieć. Doświadczenie jednak uczy, że rozwój nauk nie może opierać się wyłącznie na instytucjach państwowych. Niezbędna tu jest współpraca amatorów z ośrodkami naukowymi. Bez niej bowiem ośrodki naukowe w wielu wypadkach nie mogą podjąć ogromu zadań.

Aby zorganizować w zakresie nauk o Ziemi tę społeczną służbę prowincjonalnych badaczy, powstało Towarzystwo Miłośników Nauk o Ziemi. Jako cel wyznacza sobie ono zrzeszanie pracowników naukowych i

badaczy-amatorów, ułatwianie i popieranie amatorskiej działalności badawczej oraz publikację jej osiągnięć. Ponadto Towarzystwo nakreśla sobie szeroki program popularyzacji nauk o Ziemi, zwłaszcza wśród młodzieży. Inicjatywa w tej dziedzinie jest szczególnie cenna, ponieważ brak nam należyście funkcjonujących muzeów geologicznych a w programach nauczania szkół podstawowych nie uwzględnia się geologii. Twórcy Towarzystwa przewidują ponadto ściśle współpracę z zainteresowanymi ośrodkami naukowymi i muzeami a także utrzymywanie łączności z podobnymi organizacjami i instytucjami za granicą. Projektuje się wreszcie organizowanie krajowych i zagranicznych wypraw naukowych.

Kto może być członkiem Towarzystwa? Każdy kto ukończył dwudziesty rok życia, a także młodzież za zgodą rodziców, opiekunów lub gospodarza swej klasy. Wszelkie listy należy kierować pod adresem: Polskie Towarzystwo Miłośników Nauk o Ziemi, Warszawa, Al. Na Skarpie 20/26, Zarząd Tymczasowy.

Z ETNOGRAFII ZIEMI SŁOWIŃCÓW

Dawna kultura słowiańskich nadmorskich grup etnicznych, zajmujących brzeg bałtycki przygotowała w pewnym stopniu warunki, ułatwiające nasze powiązanie z Bałtykiem. Z wielkiego niegdyś plemienia Pomorzan zachowali się jednak tylko Kaszubi z resztkami Słowińców i ich kultura ludowa powinna być nam szczególnie droga. Warto ją także jak najdokładniej poznać. Szukając śladów dawnego zasięgu pomorskich grup etnicznych Zakład Etnografii Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu prowadził prawie co roku badania terenowe na Kaszubach i w Ziemi Słowińców, docierając do Jamna.

W czasie kilku takich wypraw terenowych miałem okazję pogłębienia znajomości kaszubskiej kultury ludowej, w której wyrosłem i zetknięcia się ze starymi Słowińcami. Po stać sędziwego rybaka JUDASZKI z Gardnej utrwaliła mi się szczególnie mocno w pamięci. W domu jego rodziców mówiono jeszcze po słowińsku, a i on mógł nam jeszcze wymienić parę słów, zwłaszcza związanych z rybolówstwem. „Wangorsz” — węgorz, „mintus” — miętus, „macec” — matnia, „losek” — losoś, „dromne” — drobne ryby, sieć zwana „brodzek” — brodzik, „biarde” — deski boczne do sieci, „jazde” — dulki wiosłowe, „cigadle” — cią-

gadła do sieci, „prat” — kij rybacki i wiele innych słów przechował w pamięci stary rybak. Od swego ojca słyszał, że niegdyś jezioro Gardno miało swoje maszoperie rybackie, do których wchodził przedstawiciel 45 „dymów”. Słowiańskie cechy kulturowe zachowały się także w budownictwie wiejskim, w okrucach sztuki ludowej i właściwej wszystkim Kaszubom skłonności do dawania żartobliwych przezwisk, co wobec powtarzających się nazwisk było nawet praktyczne (znalazł się m. i. KLUCK z przezwiskiem „Badoglio” obok „Sikory” i „Schatz’a”). Wśród osad słowiańskich ciekawe są KLUKI, złożone z kilku osiedli (Kluki Smeldzińskie, Żelazne, Giemińskie i Pawełki). Feliks ROGACZEWSKI, zasłużony działacz oświatowy wśród Słowińców, udostępnił nam cenną kronikę szkoły w Klukach, zawierającą wiele szczegółów o dużym znaczeniu naukowym. Charakterystyki mieszkańców Kluk, opis samorządowego spotkania ludności z jeńcami rosyjskimi (w czasie pierwszej wojny światowej), wśród których było wielu Polaków, przejawy odrodzenia etnicznego, udział mieszkańców wsi w wojnie światowej i rewolucji niemieckiej — wzmianki o przesądach — to ciekawe fragmenty tej kroniki.

H. WILCZEWSKI

KTO Z PSAMI LEGA... TEN Z PCHŁAMI WSTAJE

Kto o prawdzie dzwoni, ten za guzem goni.

Ładna żona — jak groch przy drodze.

Brzuch tłusty łeb ma pusty.

Kto pacierz mówi leżący, tego Pan Bóg słucha śpiący.

Lwu zdechłemu zając brodę skubie.

Nie każdy kęsa, kto wąsem trząsa.

Czasem mysie łajno za pleprz sprzedają.

Kto w ul dmucha, temu pysk spuchnie.

Wiatr chorągiewkę obraca, ale nie wieżę.

Pomorskie przysłowia ludowe wyjęte z broszury J. Łyskowskiego: „Pieśni gminne i przysłowia ludu polskiego w Prusach Zachodnich”, Brodnica 1854.



JOSCIE

O dawnych obyczajach ludowych sięgających pogańskiego okresu naszej kultury mówimy na ogół w czasie przeszłym. Od romantyzmu pisze się o nich tajemniczo lub z leką, że jeszcze „istniały do niedawna”, albo że „niestety Kościół wypłenił je zupełnie” lub wreszcie, że „pod wpływem chrześcijaństwa zmieniły swój charakter”. „Nawet te ostatnie” — jak zwykle się kończyły opisy takich uroczystości — „giną dziś coraz bardziej”. Co byście jednak powiedzieli na to, gdybyście zobaczyli dziś, w drugiej połowie XX wieku, obrzęd żywo chyba nawiązujący do praktyk kultowych tak surowo zakazanych u nas w średniowieczu. Odprawia się go zaledwie kilkadziesiąt kilometrów od Warszawy. Oto co opowiada naoczny świadek, który uczestniczył w nim tego roku.

A L B I N C A B A J

W odległości 50 km od Warszawy w pow. Mińsk Mazowiecki, na polu wsi Głupianka znajduje się kamień, przy którym co roku w pierwszy dzień Wielkanocy odbywa się tradycyjny obrzęd zwany „joście”.

Mniej więcej koło południa zbiera się młodzież z kilku okolicznych wsi w liczbie 400—500 osób i wydłużonym korowodem, śpiewając, udaje się wąską drogą polną na „joście”. Ciekawy i niezapomniany obraz przedstawia wynurzający się za

wzgórza od strony wsi pochód, w którym na przedzie, w barwnych strojach idą dziewczęta, za nimi zaś chłopcy. Idą powolnym krokiem, w poważnym nastroju, tak że sprawia to wrażenie uroczystej procesji kościelnej, tym bardziej że śpiewane są przeważnie pieśni religijne. Na czele idzie przodownica chóru podtrzymywana z obu stron pod ramionami przez dwie dziewczyny. Pochód na „joście” jest wstępem do przygotowanej we wsi wielkiej zabawy

tanecznej, i to właśnie ściągają okoliczną młodzież.

Jeszcze do ostatnich lat przed drugą wojną w pobliżu kamienia i tuż obok stojącej kapliczki składano od rana świąteczne pieczywo, różne mięsiva i datki pieniężne. Po przybyciu korowodu i odśpiewaniu pieśni, uczestnicy udawali się do wsi na zabawę, która trwała zwykle do rana dnia następnego. Pozostawioną przy kamieniu żywność i pieniądze dzielił jeden ze starszych gospodarzy wsi pomiędzy licznie gromadzących się tu żebraków. Od szeregu lat zanikł ten zwyczaj, gdyż — jak mi wyjaśniono — „żebraków teraz nie ma”.

Bliższe dane o charakterze obrzędu i historii zabytkowego kamienia znajdujemy w relacji Bogusława Wernera ogłoszonej w marcu 1917 r. w Sprawozdaniach z Posiedzeń Tow. Naukowego Warszawskiego „Kamień z miskami we wsi Głupianka w powiecie Mińsko-Mazowieckim”.

Oto treść tej relacji, w której opuszczam wywody lingwistyczne autora jako mniej ciekawe:

„Jak giną najwspanialsze zabytki pra-historii, niech służy fakt rozsadzenia na schody do kościoła w Kołbieli kamienia z miskami ze wsi Głupianka. Na gruncie pomienionej miejscowości a w polu gospodarza Jastrzębskiego został mniej więcej 10 lat temu rozsadzony ogromny głaz granitowy, liczący około 15 kroków obwodu. Pod względem topograficznym pomieniony głaz znajdował się w odległości pół wiorsty w kierunku południowo-wschodnim od wsi Głupianka i mniej więcej jednej wiorsty od rzeki Swidra w kierunku północnym na płaskowzgórzu lekko pochyłonym ku rzece. Na górnej powierzchni głazu były widoczne miskowate eliptyczne zagłębienia, przedstawiające według opowiadań wieśniaków „ślady kołan, łokci i brody Pana Jezusa”.

W pierwsze święto Wielkanocy (a więc w okresie wiosennego siewu, w czasie porównania dnia z nocą) lud okoliczny składał w zagłębieniach na kamieniu resztki święconego i pieniądze zabierane następnie przez żebraków. Obrzęd ten, jak również pole z kamieniem nosi charakterystyczną gwarową nazwę „joście”. Po zniszczeniu kamienia polecił proboszcz parafianom wybudować w tym miejscu kapliczkę, wierni tradycjom jednak włościanie umieścili przed kapliczką część górnej warstewki głazu i po dawnemu obchodzą „joście”. Ponieważ kapliczka zwrócona jest frontem ku południowi (w kierunku powolnego

spadku wyżyny ku rzece), a przed nią leży owa część kamienia, składający więc ofiary zwrócony jest twarzą ku północy. Badając zabytki przedhistoryczne okolic Dłużewa, latem 1916 roku, obejrzałem pozostałą część kamienia i zauważyłem na jego powierzchni 4 małe wytoczone zagłębienia, pośrodku zaś wykuty krzyż i litery.

Krzyż i litery są wykute ostrym narzędziem i mają charakter nowożytny, gdy przeciwnie, kuliste, wytoczone zagłębienia o średnicy równej 3 cm i głębokości około 1,5 cm odniósłbym do czasów współczesnych z pozostałymi (zniszczonymi) zagłębieniami, które przedstawiały według opowiadań ludu kuliste lub podłużne zagłębienia — „ślady kołan, łokci i brody Pana Jezusa”.

W dalszym ciągu swego artykułu przytacza Werner przykłady podobnych obrzędów ludowych z Francji, Czech i Skandynawii. Obrzędy te uczeni skłonni byli wywodzić z dawnych kultów pogańskich. Na zakończenie zaś uczyony pisze, iż „okolica Dłużewa przedstawia się bardzo bogato pod względem archeologicznym, szczególnie uderza w oczy gęstość stanowisk przeddziejowych. I tak np. w odległości 3/4 kilometra w kierunku północnym od badanego głazu znajduje się zniszczone cmentarzysko żarowe. Zebrane stamtąd fragmenty popielnic noszą ornamenty charakterystyczne dla epoki przedhistorycznej... W odległości zaś półtora wiorsty w stronę południowo-zachodnią leży stanowisko Sufczyn o charakterze grodziskowym...”

Od czasów Wernera opisywany teren nie był badany pod względem archeologicznym, a dokładne badania mogłyby rzucić dużo światła na ten ciekawy zwyczaj ludowy. Nie bez znaczenia będzie tu chyba fakt, że obok wsi Głupianka znajduje się przysiółek Łysa Góra. Być może jest to pierwotna nazwa całej wsi?

Niemal w każdym powiecie spotykamy miejscowości jak Łysa Góra, Anielska Góra, Diabełska Góra, których same nazwy wskazują, że mogły one mieć w przeszłości charakter kultowy. Ogólnie znana jest też legenda o weselu czarownicy na Łysej Górze, gdzie raz do roku przy obfitych jadłach i napojach odbywały się „praktyki szatańskie” potępiane przez Kościół. Jeśli z tekstu legendy odrzucimy potępiający wątek kaznodziejski, pozostanie opis starego obrzędu słowiańskiego takiego, jakim w odległej przeszłości mógł być również obrzęd „joście”.

STOLICA

BOGUSŁAWA

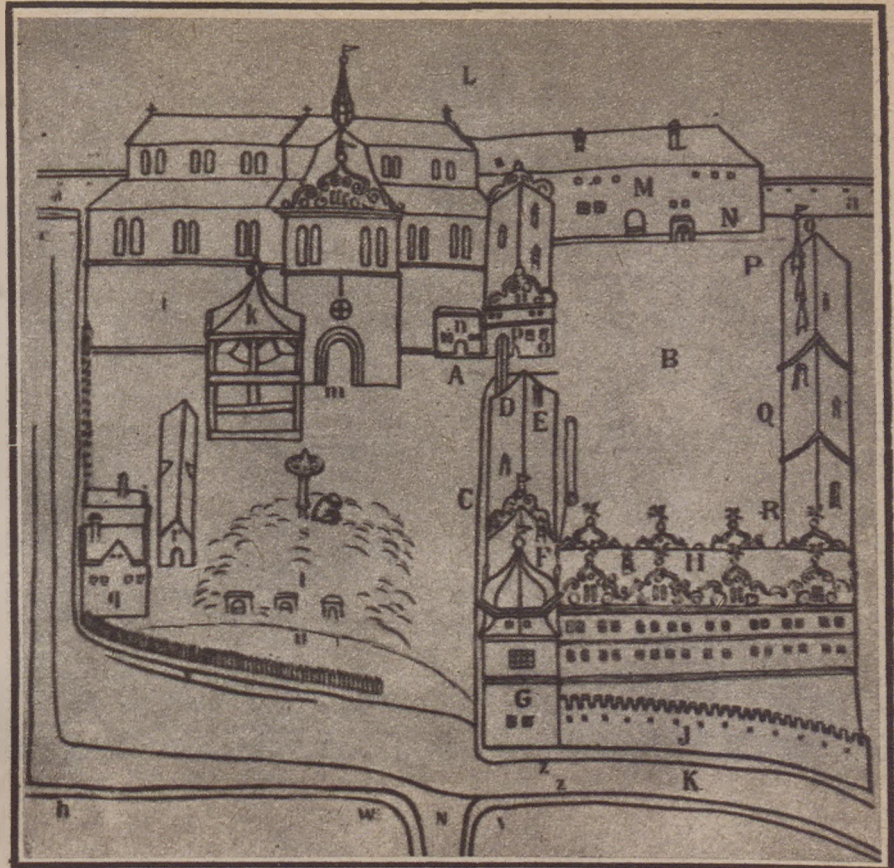
WIELKIEGO

CZESŁAW PISKORSKI

Na przełomie XV i XVI wieku rządy w księstwie szczecińskim objął Bogusław X, jeden z najwybitniejszych książąt pomorskich, w uznaniu swych zasług opatrzony później przydomkiem Wielki. Urodzony w r. 1454 wychowywał się na dworze polskim, razem z synami Kazimierza Jagiellończyka oddany pod opiekę Jana Długosza. Okres ten wpłynął decydująco na kształtowanie jego osobowości i orientacji politycznej. Bogusław — jak wszyscy władcy pomorscy — musiał się liczyć z geopolitycznymi realiami swojego księstwa, zwłaszcza zaś z sąsiedztwem Brandenburgii, które w wielu wypadkach wiązało mu ręce; tym niemniej wychowanie na

dworze polskim, późniejsze związki rodzinne z dynastią jagiellońską i świadomość wzrostu znaczenia politycznego Polski, umocnionego stosunkowo niedawno zwycięstwem grunwaldzkim — wpłynęły niewątpliwie, na tok jego wewnętrznej i zewnętrznej polityki.

Po objęciu władzy Bogusław X przeprowadził przede wszystkim szereg zmian w administracji, skarbowości i sądownictwie, wzorując się na systemie obowiązującym podówczas w Polsce. W dziedzinie polityki zewnętrznej dążył do zjednoczenia Pomorza Zachodniego pod swoją władzą i zadanie to szczęśliwie zrealizował, utrwalając i umacniając nie tylko swoją osobistą po-



zycję, ale zmieniając również układ sił, co oczywiście nie pozostało bez konsekwencji, jeśli chodzi o stosunki z Brandenburgią. Jak powszechną była opinia, wiążąca działalność młodego księcia z wpływami polskimi — świadczą legendy, przechowywane długo w tradycji regionalnej. I tak np. popularne są opowiadania o stałych kontaktach Bogusława X z Janem Długoszem, a we wsi Łącko w woj. koszalińskim pokazuje się do dziś chatę, w której ponoć mieli się oni spotykać — co upamiętnia nawet przechowywana do dziś w owej chatce pamiątkowa tablica, informująca w języku niemieckim o owej legendzie.

Stolicą zjednoczonego księstwa

uczynił Bogusław X Szczecin. Na miejscu dawnego grodu znajdował się tu podówczas zamek, założony jeszcze w r. 1346 przez Barnima III, a umocniony ok. r. 1430 przez Kazimierza VI. Rezydencję tę Bogusław rozbudowuje, wnosząc skrzydło południowe z wieżami zegarową i więzienną. To właśnie tutaj odbył się w r. 1491 ślub księcia Bogusława z królową Anną, córką Kazimierza Jagiellończyka. Niewiele przechowało się do dziś ze skrzydła zamkowego fundacji Bogusława X — ledwie dwie nieduże sale o późnogotyckich sieciowych sklepieniach i może dopiero planowana restauracja zamku pozwoli na odtworzenie innych wnętrz z owego okresu,



Szczeciński zamek przed rokiem 1577 wg starego rysunku. Widok od południa.

W czasie ostatniej wojny zabytkowe części miasta uległy zburzeniu. Na dalszym planie odbudowana kamienica Loitzów. Fot. M. Kornecki.



Ruiny Baszty Siedmiu Płaszczy i szczątki po średniowiecznej Bramie Kobiet.
Fot. J. Bogdanowski.



Pałac myśliwski książąt szczecińskich w Grabowie, wzniesiony z pozostałymi XVI wieku, wg starego sztychu.

istniejących przed 1945 rokiem. Przechowały się natomiast notaty kronikarskie i relacje, opisujące dokładnie przebieg uroczystości weselnych: przygotowywanie przez miasto kwatery dla orszaków książąt, panów i biskupów, przybycie 4000 gości weselnych, przebieg samej uroczystości i wystawienie w nowych salach zamkowych na widok publiczny wiana królowej Anny, które bogactwem swoim wywołało ponoć zachwyt współczesnych.

Rozwijające się życie gospodarcze nowo-kreowanej stolicy zjednoczonego Pomorza Zachodniego sprawiło, że zabudowa miejska zaczęła przekraczać ramy murów obronnych. Coraz częściej buduje się magazyny na wschodnim brzegu Odry, na Łasztowni, dla połączenia miasta z Łasztownią nie starcza już dawny Długi Most — i konieczną okazuje się już w końcu XV wieku budowa drugiego, zwanego Drewnianym. Łasztownia staje się coraz ruchliwszą częścią Szczecina, na dawnych łakach powstają magazyny, spichrze, place targowe, zaś na brzegu Odry staje żuraw, ułatwiający wyładunek towarów. W połowie w. XVI przy zachodnim brzegu Odry zbudowano też nadbrzeże, co przyczyniło się w niemałym stopniu do zwiększenia szybkości prac przeładunkowych.

Osobnym problemem ówczesnego Szczecina były stocznie. Nowe, nader pomyślne dla miasta perspektywy rozwoju handlu sprawiły, że Rada Miejska poczyniła coraz wyraźniej ingerować w sprawy budownictwa okrętowego, broniąc przywilejów mieszczaństwa i starając się powiększyć dochody miejscowych domów handlowo-spedycyjnych. Ogranicza się więc sprzedaż budowanych w Szczecinie statków, a wreszcie w r. 1558 zapada uchwała zabraniająca w ogóle sprzedaży statków miejscowej produkcji kupcom spoza Szczecina. Decyzja ta motywowana była przez Radę brakiem budulca. Sądzić można, że rzeczywiście już wówczas istniały może pewne lokalne trudności w zakresie surowca drzewnego; wprowadzić wielkie lasy

dębowe istniały jeszcze w tym okresie na terenie Pomorza Zachodniego, ale większość z nich znajdowała się z dala od splawnych rzek, co automatycznie zwiększało koszty transportu i utrudniało prace stoczniowe. Wydaje się jednak, że motywacja ta tylko w części była słuszna; bardziej istotny był najprawdopodobniej wzgląd na własne potrzeby w zakresie budownictwa okrętowego i dochody, płynące z eksploatacji własnej — możliwie dużej — floty handlowej. Równocześnie z omawianą decyzją ustala się też wielkość statków, dostosowując je do możliwości żeglugowych dolnego odcinka Odry. Nie były one w owym czasie zbyt duże; Odra tworzyła liczne ławice i mielizny, co uniemożliwiała praktycznie eksploatację zbyt wielkich jednostek. Wedle zaleceń Rady Miejskiej buduje się więc statki raczej niewielkie, o długości 24 łokci (t.j. nieco ponad 15 m), choć nie jest bynajmniej zabroniona budowa większych — być może używanych także i do żeglugi przybrzeżnej. W okresie od 1556 do 1562, a więc w ciągu sześciu lat zbudowano w Szczecinie — wedle zachowanych materiałów, które mogą być niezupełnie kompletne — 14 nowych statków dla miejscowych kupców.



Książę Bogusław Wielki wg współczesnego portretu.

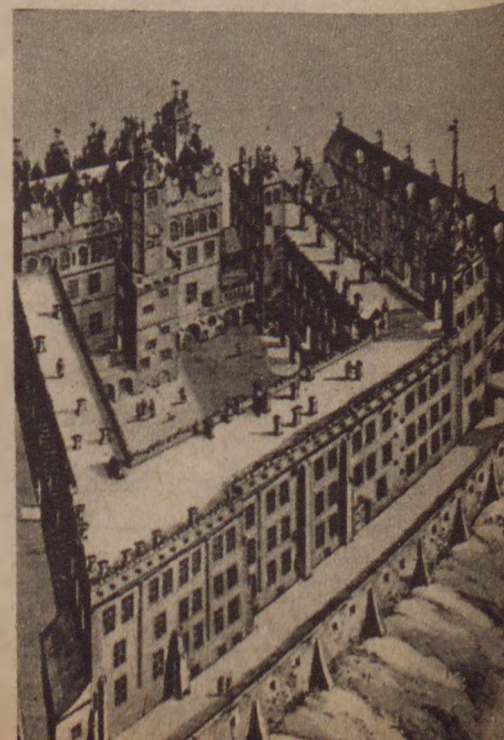
Zachowało się wiele relacji, obrazujących rozkwit miasta i mniej lub więcej bezpośrednio sławiących rządzącego Bogusława Wielkiego. Przechowało się też wiele napoi anegdotalnych notat o jego kontaktach z dworem polskim i jego polityką — ale są to sprawy wymagające podjęcia gruntownych badań naukowych w oparciu o przekazy archiwalne. Życzyć by sobie należało, by ów niezmiernie ciekawy problem związków łączących zjednoczone Pomorze Zachodnie i jego władcę z Polską możliwie najrychlej doczekał się zbadania i omówienia. Zanim to jednak nastąpi — muszą nam wystarczyć przekazy ikonograficzne, obrazujące wygląd zamku i miasta bądź w okresie rządów Bogusława X, bądź też nieco później — a także tych bardzo już nielicznych obecnie pamiątek architektonicznych, pozostałych po starym Szczecinie.

I może warto jeszcze powiedzieć słów parę o innych, bardzo charakterystycznych przez swą trwałość wspomnieniach tradycji.

Polowania w owym czasie były nie tylko przywilejem władców i wierzchnich warstw rządzących, ale także i ulubioną ich rozrywką. Istnieje do dziś w Dąbiu dawny pałac myśliwski książąt pomorskich, istniały także i inne — w Podlesiu

(pow. goleniowski), na Grabowie (północne przedmieście Szczecina) i w wielu innych miejscach. Rzecz jednak ciekawa: polowali z zapalem wszyscy książęta pomorscy — ale w lokalnych, tradycją przekazywanych z pokolenia w pokolenie wspominkach zachowały się tylko polowania księcia Bogusława Wielkiego. W puszczy Wkrzańskiej, w okolicy Tanowa rosła dwa olbrzymie wieloletnie dęby, zwane (nawet w tradycji XIX i XX-wiecznej ludności niemieckiej) „dębami Bogusława“, zaś w puszczy goleniowskiej, w Kliniskach przy leśniczówce Wrzosowo stoi do dziś olbrzymia lipa „Anna“, pamiętająca ponoć Annę Jagiellonkę, żonę Bogusława Wielkiego. I ta nazwa także znana była ludności niemieckiej. Znana i przechowywana, chociaż skądinąd Anna Jagiellonka nie cieszyła się specjalną życzliwością wielu swych poddanych, pomawiających ją o nakłanianie księcia do zacieśnienia więzów z Polską — co zresztą nie jest nieprawdopodobne i także zasługuje na zbadanie.

Wymarli Gryfici pomorscy w 1637, kraj zajęli Szwedzi, później Prusacy. Dziś po jednych i drugich ślad nie pozostał — a przeszłość czeka na odświeżenie prac archiwisty i historyka.



Zamek szczeciński po renesansowej przebudowie wg Meriana.

PROBLEM polskiego szkolnictwa w okresie międzywojennym na Warmii i Mazurach nie został dotąd naukowo opracowany; stanie się to możliwe dopiero po opublikowaniu pamiętników tamtejszych działaczy szkolnych i zebraniu szczupłych źródeł archiwalnych.

Klęska wilhelmowskich Niemiec i rewolucja listopadowa w Berlinie ożywiły uświadomienie Polonii warmijsko-mazurską. Z chwilą ogłoszenia postanowień traktatu wersalskiego i przybycia na tereny plebiscytowe komisji międzysojuszniczych wzrosły możliwości zaprowadzenia polskiego szkolnictwa na Powiślu, Warmii i Mazurach. Ludność warmijska złożyła 71 wniosków o założenie polskich szkół, lecz niektóre tylko zostały uwzględnione. Do powstałych w Olsztynie staraniem Warmijskiego Komitetu Plebiscytowego i Rady Ludowej 17 polskich szkół prywatnych uczęszczało 976 dzieci; ponadto w 12 państwowych szkołach niemieckich odbywała się 3 razy tygodniowo nauka języka polskiego dla 878 dzieci.

Przeegrany po pięciomiesięcznych przygotowaniach plebiscyt przekreślił nadzieję ludności na utrzymanie polskich szkół. Jedynie w dwóch szkołach odbywała się nadal nauka języka polskiego. Ludność warmijska nie rezygnowała jednak łatwo z walki o uzyskanie praw równych prawom mniejszości niemieckiej w Polsce, która posiadała w tym czasie dziesiątki własnych szkół podstawowych i gimnazjów.

Zawiazany już w listopadzie 1920 r. Związek Polaków w Prusach Wschodnich, a później Związek Polaków w Niemczech, wysunął jako jedno z czołowych zadań patronat nad szkolnictwem. Przyczynił się do tego zwłaszcza Jan Baczewski, rodem z Gryźlin w powiecie olsztyńskim, obrany posłem do sejmiku pruskiego w r. 1922. Walczył on również o prawo dla innych mniejszości narodowych w Niemczech. Starania zostały uwieńczone sukcesem: rząd niemiecki wydał 31. XII. 1928 r. „Ordynację szkolną dla polskiej mniejszości narodowej“.

Mimo ostrej kontrakcji ze strony władz i organizacji lokalnych, ówczesne kierownictwo Polsko-Katolickiego Towarzystwa Szkolnego na Warmii, z Franciszkiem Barczem na czele, zdołało dokonać otwarcia 4. IV. 1929 r. — 4 szkół w Szafaldzie (Uniszewie), Chabrowie (Nowe Butryny), Gietrzwałdzie i Nowej Kaletce. W Szafaldzie walka o szkołę trwała już od 4 lat. Rodzice wysyłali petycje do starosty olsztyńskiego, opatrzone ponad 70 podpisami. Protestowano u biskupa warmijskiego przeciwko nauczaniu religii w języku niemieckim. Nauka języka polskiego odbywała się po południu. Władze poszły na pewne ustępstwa, ale nie na długo. Landrat olsztyński i urzędnicy szkolni postanowili odstraszyć rodziców od posyłania dzieci do polskiej szkoły, próby zastraszania jednak nie powiodły się.

Okresem szczytowym rozwoju polskiego szkolnictwa są lata 1930—31. Ilość szkół wzrosła wtedy do 15. W 1930 r. powstały szkoły w Brunszwałdzie, Pluskach, Jarotach, Purdzie Wielkiej, Lesznie, Worytach (pow. Olsztyn), Stanclewie (pow. Reszel), Wymoju. W 1931 r. polskie szkoły powstają w Gilawach i Bruns-

wałdzie (pow. Olsztyn) i Piasutnie (pow. Szczytno). Liczba uczących się w nich dzieci przekroczyła 200. Przy szkołach było 8 ochronek polskich, które częściowo istniały już przed założeniem szkół, przygotowując do nich młodzież. Osiągnięcie takiej ilości dzieci w szkołach polskich było sukcesem, jeżeli się zważy, że po przegranej plebiscycie przywódcy polskiego ruchu narodowego musieli opuścić Warmię. Ponadto nadmienić wypada, że bogaci chłopcy („gbury“) przeważnie nie posyłali swych dzieci do polskiej szkoły, a jej ostoją była jedynie biedota rolna, robotnicy i średniorolni.

Rodzice walczyli dzielnie z władzami niemieckimi, lecz tylko najwytrwalsi i niezależni gospodarzo zdolali przetrzymać ucisk ekonomiczny. Rodziców posyłających dzieci do polskiej szkoły pozbawiano bowiem pracy. Taki los spotkał np. robotnika leśnego Piotra Zarembe w Stanclewie, pow. Reszel. Podobnie wymówiono dzierżawę chłopu Wehnertowi. Pozbawiono ich tzw. „zasilków wschodnich“, rent, nakładano na nich pod różnymi pretekstami kary. Metody walki stały się jeszcze bezwzględniejsze i przewrotniejsze niż przed I wojną światową. Praktyki takich nauczycieli niemieckich jak Kater w Nagładach (pow. Olsztyn), czy Harplein w Bujakach (pow. Ostróda) — zawieszających tabliczki z napisem „Pollak“ dzieciom mówiącym po polsku, stały się niewinną igraszką w porównaniu z metodami hitlerowskimi. Choć rozporządzenia rejencji zezwalały na mówienie po polsku na przerwach — rozwścieczeni nauczyciele niemieccy bili do nieprzytomności warmijskie i mazurskie dzieci, które nie znały języka niemieckiego. W tych warunkach trudno się dziwić, że liczba dzieci w szkołach polskich malała. Ponieważ podstawą prawną założenia szkoły było zgłoszenie przynajmniej 7 dzieci pragnących do niej uczęszczać, Niemcy stosowali najrozmaitsze metody, aby temu zapobiec. I tak np. ucznia szkoły w Worytach (pow. Olsztyn), Lotara Kruegera osadzono w domu sierot, by uszczuplić stan polskiej szkoły. Związek Towarzystw Szkół bronił się, przenosząc robotników chcących posyłać swe dzieci do miejscowości, w której istniała szkoła polska. Niemcy odpowiadali na to zwalnianiem z pracy i eksmisjami ze wsi. Na dzieci uczęszczające do polskiej szkoły napadały bojówki Hitlerjugend, obrzucając je kamieniami. Rzucano również kamieniami i strzelano w okna rodziców i nauczycieli.

Pierwszą szkołę polską zamknięto w 1932 r. w Piasutnie (pow. Szczytno). Ostatnim polskim nauczycielem był tu Jerzy Lanc, o którym pisze obszernie M. Wańkowicz w swojej książce „Na tropach smętka“.

Dnia 10. IX. 1933 r. w szczytowym okresie hitlerowskich prześladowań zamknięto szkołę polską w Gietrzwałdzie (pow. Olsztyn), który w czasie plebiscytu i później był ostoją polskości. Tutaj podczas plebiscytu powiewała flaga polska na domu Samulowskich. Do Gietrzwałdu w okresie odpustów szły pielgrzymki z całej Warmii, a nawet z Polski. Tym tłumaczy się uderzenie nie-

SZKOLNICTWO POLSKIE NA WARMII I MAZURACH W OKRESIE MIĘDZYWOJENNYM

ZYGMUNT LIETZ



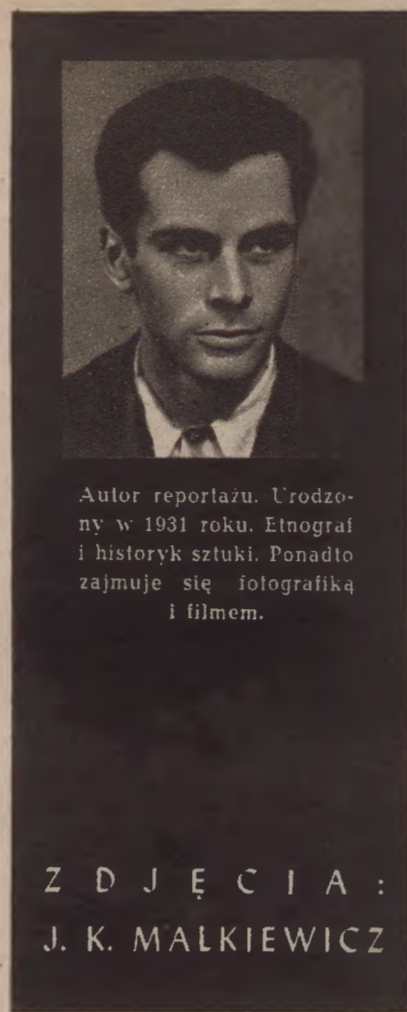
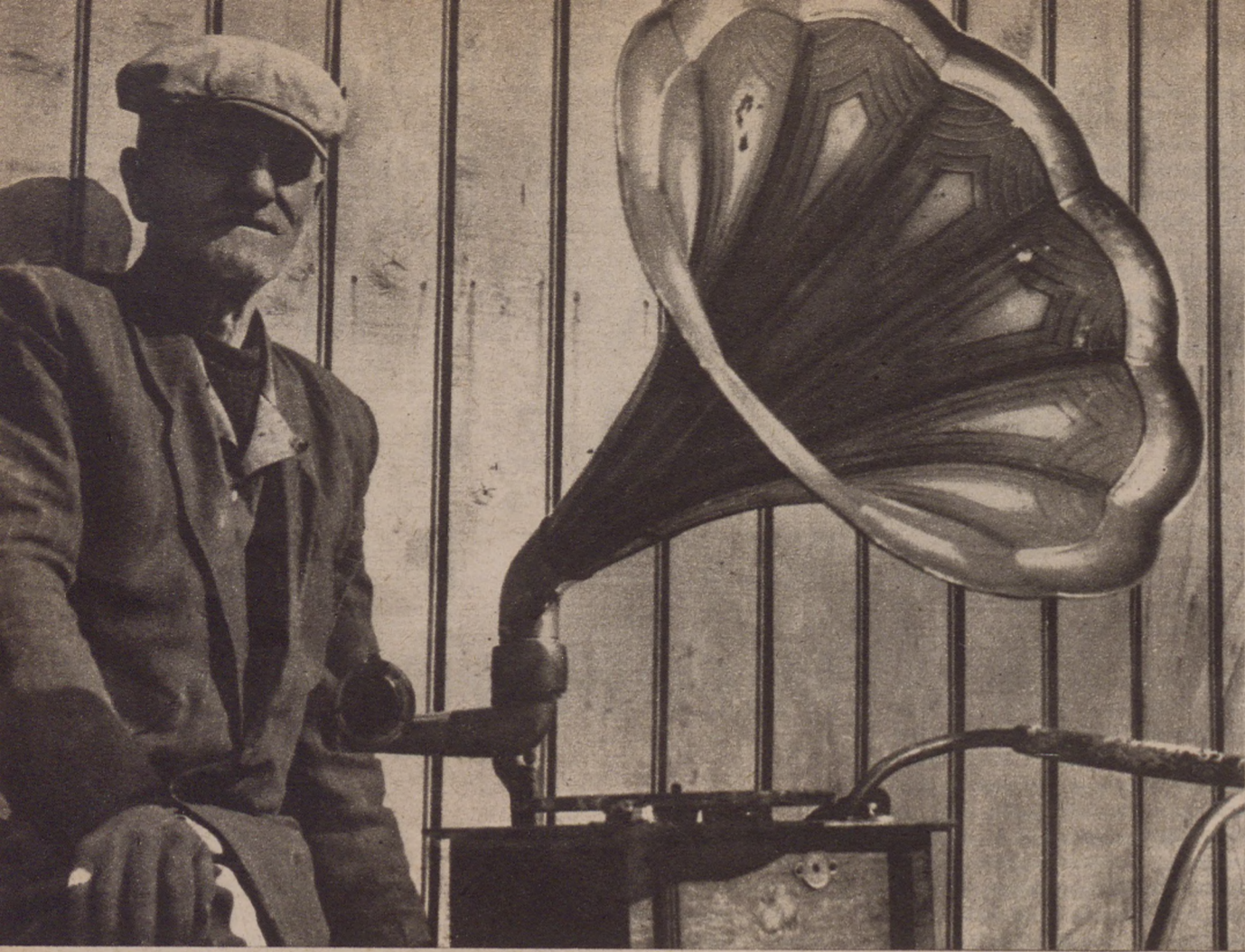
Rok 1939. Ostatnia grupa dzieci z polskiej szkoły w Nowej Kaletce (pow. Olsztyn) wraz z nauczycielem J. Grothem.

mieckie na Gietrzwałd i szybkie zlikwidowanie w nim polskiej szkoły.

W dniu 9. IV. 1934 r. otwarto w Olsztynie polską szkołę, która miała początkowo 42 dzieci. Była ona przedmiotem szczególnie gwałtownych ataków ze strony władz niemieckich. Tymczasem szkoła w Pluskach, istniejąca od stycznia 1930 r. w domu Weichertów, otrzymała nowy gmach szkolny. Nauczyciel R. Gransicki nie ograniczał się z żoną do zajęć szkolnych. Założony przezeń ogródek szkolny stał się bodźcem do ulepszenia uprawy i hodowli gospodarstw chłopskich. Wieczorami Gransicki uczył chłopców robić narty, a żona w świetlicy uczyła robótek, śpiewu. Oczywiście nacisk niemiecki trwał stale. Pozbawiano chłopów po-

zyczek w okresie posuchy i głodu, nie udzielano im pomocy. Liczba młodzieży w polskiej szkole stopniowo malała. W rezultacie zmusiło to Zw. Towarzystw Szkolnych do zamknięcia szkoły w Pluskach w 1937 roku.

Pozostałe szkoły przetrwały do 1939 r. Już w sierpniu na Powiślu i Warmii rozpoczęto wysiedlanie aktywnych Polaków w głąb Niemiec ze względu na „bezpieczeństwo narodu i państwa“. Na polskie szkoły uderzyły bojówki hitlerowców niszcząc sprzęt, bijąc domowników i aresztując nauczycieli. Większość z nich zginęła w obozach koncentracyjnych. Wśród nich zginęli Fr. Barcz, J. Groth, Br. Chabowski, B. Jeziółciewicz, J. Bina i inni.



Autor reportażu. Urodzony w 1931 roku. Etnograf i historyk sztuki. Ponadto zajmuje się fotografią i filmem.

ZDJĘCIA:
J. K. MALKIEWICZ



N A T A N D E C I E

Z tym co w Krakowie zowią „tandeta“ lub „ciuchami“ po raz pierwszy zetknąłem się w innym mieście i zupełnie innej sytuacji. W na pół wypalonych ruinach getta, na wyboistych placach i w ciasnych gardłach uliczek przewalało się mrowie ludzkie, latem wznosząc chmury ceglano-pyłu, a w zimie mieszając kaloszami śniegowo-błotnistą maź. Szpalery handlarzy oferowały wyleniałe kołnierze z lisów lub suknie misternie uszyte z przedwojennych firanek. W rogu sprzedawano w torebkach z gazety tytoń, konsystencją zbliżony do szezki. Naprzeciw rozwalonej synagogi — siedziby handlarzy śrub — wystawione wprost na ulicę dymity dwa kilkunastolitrowe samowary. Jakże nędzna i niepodobna do tej dzisiejszej w Krakowie była tamta tandeta. Ale bo też działo się to w mieście także wprawdzie dużym, starożytnym i sławnym, lecz ciężko dyszącym w szóstym roku wojny. W mieście gdzie nawet w pewnym okresie sprzedawano na ulicach kromki razowego chleba tak, jak gdyby to były ciastka.

W Krakowie nikt w ten sposób na ulicach razowcem nie handluje ani nie handlował. Poza tym od chwili zakończenia wojny minęło już 12 lat. A mimo to krakowska tandeta istnieje nadal. Podobnie zresztą jest w Warszawie, a także i innych miastach, z których wiele stanowi dla znaczących ośrodków

tandeciarskich pośrednie placówki pomocnicze. Słowem tandeta jako określone zjawisko społeczno-gospodarcze doskonale zadomowiła się w naszym powojennym życiu. Jest wynikiem konkretnych trudności ekonomicznych i zniknie chyba kiedyś wraz z nimi. Tymczasem jednak, głucha na afiszowe zakłęcia i odporna na posunięcia administracyjne — prosperuje, i to nienajgorzej. W ciągu szeregu lat istnienia wytworzył się wokół niej jakby odrębny świat zorganizowany na swój sposób i rządzący się własnymi prawami. Świat ochrypłych handlarek, ćmiących w żółtych od nikotyny „lufkach“ papierosy, bez względu na pogodę owiniętych w chustki i ściągnięte paskiem, zatkuszczone prochowce. Świat zamorskiej konfekcji rozłożonej na brezentowych plachtach i rodzimych produktów kunsztu krawieckiego pośledniejszej miary. Gdzie pod spłowiłym parasolem kłębią się w zależności od pory roku to srebrzysto-czarne płaszcze „z miśm“ i lotnicze kozuski ze śladem białej gwiazdy na ramieniu. Miejsce zarazem, gdzie sprzedaje się podejrzanie wielkie ilości „kazonnych“ butów filcowych, watówek i kombinezonów. Gdzie spotkamy zarówno zabiedzone studentki, ciułażące na amerykański sweter przez szereg głodnych tygodni jak i dobrze odżywionych ludzi, których „stać na to“. Wreszcie tandeta to prawdziwa „wyspa ostatniej nadziei“ dla tych,



BIBLIOTEKA
WYŻSZEJ SZKOŁY PEDAGOGICZNEJ

NA TANDECIE

DOKOŃCZENIE

co przez wiele godzin bezskutecznie poszukiwali w sklepach kółka do dziecinnego wózka lub kurka do wodociągu. I na koniec jest to siedliśko prawdziwych handlarzy starzyzną i tandetą, leżącą w bezładnych stosach. Klienci grzebią w nich za pomocą kija wyszukując właściwy towar.

Każdy niemal z podróżników bawiać w jakimkolwiek kraju Wschodu uważa za swój obowiązek odwiedzenie miejscowych bazarów, gdzie trwożnie trzymając się za kieszeń — chłonnie wrażenia. Po powrocie dzieli się nimi z rzeszą żądnych egzotyki rodaków. Wrażenia są często banalne i pobieżne, ale pochodzą z dalekiego kraju i dlatego potknięcia uchodzą naszemu reportażyście płazem. Niestety w ten sam sposób traktują na ogół swe relacje autorzy reportaży z rodzimych placów tandeciarskich. Żaden z nich nie pomyśli o tym by zapoznać swoich czytelników bliżej ze szczegółami tego odrębnego świata, tej handlowej maszyny skupiającej setki, a nawet tysiące ludzi w Polsce. Co więcej, nie wiadomo czy zjawiskiem tandety zajmują się przynajmniej ci, którzy niejako z zawodu winni interesować się życiem społecznym naszego kraju. Mowa tu o socjologach. Czy ktokolwiek z nich interesował się np. sposobami, jakimi cudzoziemskie towary docierają regularnie nawet z najbardziej zapadłych wsi Podkarpacia i Kurpiowszczyzny na bazyry wielkich miast? Czy ktokolwiek zwrócił uwagę na tych ludzi, którzy w „dni targowe“ z niebywałą wprawą i determinacją po-

dróżują obarczeni olbrzymimi kuframi stale na tych samych liniach dalekobieżnych pociągów? Czy zwrócił ktoś uwagę na niezwykle szybką orientację tandeciarskich handlarzy, którzy — jak można przypuszczać — bez zagranicznych żurnali i przekrojowych wycinanek z „Elle“ błyskawicznie wiedzą w którym kierunku pójdzie kapryśna moda wielkomiejskiej klienteli?

Zapewne, tego rodzaju zagadnienia wymagają żmudnych nieraz, a zawsze ostrożnych obserwacji. Ale takie badania byłyby tym bardziej wskazane, że tandeta prędej czy później skazana jest na zagładę. W życiu nowoczesnego narodu europejskiego stanowi anomalię. Jest zjawiskiem dziwnym lecz przejściowym. Smutną koniecznością, z którą chętnie pożegnaliśmy się choćby dziś — jeżeliby rzeczywistość „tandety“ utraciła rację bytu. Zniknie kiedyś tandeta, tak jak zniknęło tyle innych niepotrzebnych instytucji. Warto więc szczegółowo zbadać ją teraz, póki jeszcze jest zjawiskiem żywym, współcześnie nam dostępnym. Tylko kto przeprowadzi nad nią badania? Może krajoznawcy? Ci niestety obierają sobie za przedmiot zainteresowań tematy związane z przeszłością, dostępne poprzez druki, rękopisy i tradycję ustną. Dzień dzisiejszy jest zbyt znany wszystkim — a przez to mało ciekawy. Dopiero za lat kilkadziesiąt, kiedy całe zjawiska przepadną, a fakty utoną w niepamięci, minioną epoką znajdzie swych mozolnych szperaczy, którzy ją „odkryją“, niekoniernie w zbyt wiernej postaci.

RENEANSOWE PAŁACE ŚLĄSKIE

T A D E U S Z C H R Z A N O W S K I

Dawne zamki to pojęcie w Polsce nierozdzielnie związane z obrazem ruin i opuszczenia. Obecnie z obrazem ruin zaczyna się u nas wiązać pojęcie pałacu, budowli z późniejszego okresu. Szczególnie jaskrawo występuje to zjawisko na Ziemiach Odzyskanych. W poprzednim numerze autor rozpoczął przegląd śląskich pałaców renesansowych, nawołując o właściwe użytkowanie tych niszczących zabytków.





POWYŻEJ: PAŁAC W PŁAKOWICACH POD LWÓWKIEM OPUSTOSZAŁY I ZANIEDBANY, CZĘŚCIOWO PRZEKSZTAŁCONY NA MAGAZYN. Z LEWEJ: PORTAL PŁAKOWICKIEGO PAŁACU. WSZYSTKIE ZDJĘCIA AUTORA.

Równie imponująca jak Gorzanów jest rezydencja w Plakowicach pod Lwówkiem.

Czas powstania określa napis na portalu, w którym Ramphaldt von Talkenberg zu Plackwicz głosi, że rozpoczął budowę w 1550 roku. W r. 1820 przekształcono pałac na dom wariatów i z biegiem czasu w otoczeniu wyrosło całe szpitalne miasteczko. Dziś goszczą tam mali i zupełnie normalni lokatorowie: budynki przekształcono na osiedle dla sierot i obok jasnowłosych dzieci poległych w partyzantce, w powstaniu czy na froncie ojców, bawią się czarnowłosi i czarnoocy Koreańczycy. Nie mieszkają jednak w pałacu — wygodniejsze i odpowiedniejsze dla nich są obszerne, nowoczesne budynki. Pałac przekształcono na magazyn i częściowo wykorzystany, częściowo opustoszały, zawilgocony, brudny, zaniedbany, stoi głuchy i mroczny wśród soczystej zieleni parku.

Jego zewnętrzna bryła surowa i prosta, zaakcentowana dwoma skromnymi szczytami, posiada tylko jeden ozdobniejszy akcent: wspinały portal, nawiązujący stylowo do tych pierwszych wielkich renesansowych osiągnięć, jakimi są zamki w Brzegu, Legnicy czy Chojnowie. Jest to renesans na pół ludowy, atektoniczny, dążący do maksymalnej ozdobności, pewny siebie pewnością młodości wstępującej śmiało w życie. O wiele delikatniejszą dekorację ukazuje dziedziniec — istne cacko śląskiego renesansu — nie ustępujący zupełnie dziedzińcowi w Baranowie. „Mały Wawel“ z arkadami o smukłych proporcjach, pokryty płaską, kaligraficzną dekoracją roślinną i rozetową.

Czarne, ruchliwe, skośnookie chłopczyki przypatrują się z zaciekawieniem memu aparatowi fotograficznemu. Pytam, czy zrobić im zdjęcie? I owszem — marzą o tym, tylko nie śmieli poprosić. Naciskając spust migawki myślę, że dumny pan Ramphaldt von Talkenberg zu Plackwicz bardzo by się zdziwił, gdyby mógł przewidzieć, że w cztery wieki po rozpoczęciu budowy rezydencji, będą po niej biegać sierotki z dalekiego wschodniego kraju, o którym zapewne nigdy nawet nie słyszał. Portal bardzo podobny do plakowickiego znalazłem w Czarnym Potoku pod Jelenią Górą. Takie same wstęgi z napisami i tarcze herbowe z bujnymi labrami, takie same kapietele i groteski na pilastrach, a wreszcie podobnie ujęte medaliony z profilowymi „portretami“ zapewne fundatorów. Zresztą pałac pochodzi z r. 1559, a więc powstał wkrótce po plakowickim.

Surowy czworobok budynku nakryty stromymi dachami posiada tylko jeden akcent — kwadratową wieżę w jednym z narożników. Nowe tynki kryją być może istniejące pierwotnie bez wątpienia sgraffita. Obramienia okien posiadają szlachetny, prosty profil. Dziedziniec przekształcony z zatraceniem pierwotnych cech. Tak więc jedyną ozdobą jest tu portal — niestety — podparty prymitywnym rusztowaniem — jeśli nie natychmiastowa pomoc — wykruszy się i rozpadnie w kawałki. Już brak zwieńczenia, zaś węgary są poważnie uszkodzone...

W Czarnym Potoku zachowały się ponadto wyraźnie ślady fos — jak bowiem sama nazwa wskazuje — był to pierwotnie zamek otoczony

wodą. Czy istotnie czarną — tego nie stwierdziłem.

Oczywiście Czarny Potok jest o wiele mniejszy w proporcjach od Kamiennej Góry, Gorzanowa czy Plakowic. Jeszcze nieco mniejszy jest pałacyk w Ścinawce Dolnej (przy drodze z Kłodzka do Wambierzyc). W rzucie przypomina Plakowice: podkowa budynku obejmuje wewnętrzny, bardzo zresztą mały dziedziniec, zamknięty pierwotnie ślepa ścianą. Jako pokrycie dachowe występuje tu rzadko w śląskiej architekturze pałacowej używany gont. Gont ten ustępuje zresztą miejsca „staropolskiej“ papie, sam budynek jest na pół opuszczony, zdewastowany — robi przygnębiające wrażenie. Opadający ze ścian tynk ukazuje dobrze zachowane sgraffita. Obserwując proste, lecz wesołe w rysunku szczyty myślę, jakim pięknym pałacykiem mogłaby być Ścinawka, gdyby użytkownik, (podówczas spółdzielnia produkcyjna) wykorzystał ją i odnowił w należyty sposób.

Na pierwszy rzut oka wyniosły pałac w Modle pod Chojnowem zdaje się być w nienajgorszym stanie. Niestety — bliższe oględziny pozwalają stwierdzić, że — jak tyle innych — stoi pustką, jest ograbiony z szyb, zabity deskami. Oczywiście to ładnie, że zarząd majątku pilnuje, by po pałacu nie buszowali wandalowie, lecz znowu — czy tego wielkiego budynku nie dałoby się jakoś wykorzystać?

Modła uległa znacznym przekształceniom i w XVIII a szczególnie w XIX w. (kiedy to przedłużono jej zwarty kwadratowy korpus). Dziś interesująco przedstawia się tylko fasada flankowana dwoma nadwie-

szonymi, „wykuszowymi“, okrągłymi basztami. Obramienia okienne tych baszt zachowały bardzo ładną renesansową groteskę. Również w przekształconym w XVIII w. portalu zachowały się heraldyczne fragmenty z XVI w. Z napisu na tym portalu dowiadujemy się, że pałac w Modle powstał w latach 1564—67.

A teraz przejdźmy do najbardziej ponurych pozycji tej listy. O pałacu w Trzebinie pod Prudnikami pisałem w jednym z poprzednich numerów „Ziemi“. W podobnym stanie znajduje się mały pałacyk, a właściwie okazały dwór w Bożygnewie (powiat średzki). Wzniesiony w r. 1613 spłonął w czasie wojny i prezentuje się dziś jako straszliwa ruina, której los jest bardzo niepewny: miejscowy PGR chce mury rozebrać, ponieważ grożą zawaleniem. Jeśli ten projekt nie został już urzeczywistniony, obawiam się, że zrealizowany zostanie w najbliższym czasie. Pozostaną więc z Bożygnewu (który dziś jeszcze nadaje się w pełni do odbudowy) obszerne, sklepione piwnice, przeznaczone na skład kartofli oraz wspomnienie zawarte w słowach niemieckiego inwentarza: „der Reiz des schön gelegenen, 1613 errichteten Bauwerks liegt in der Dachbildung...“ — dachy bowiem przenikały się tu spływając na szczyty o ładnym wykroju — parzyste po bokach dłuższych i bliższe w krótszych.

W najbliższym czasie upodobni się do Bożygnewu pałac w Prusach w powiecie ziębiczkim. Wzniesiony około 1600 r., przebudowany w w. XVIII i początku XIX, zachował bardzo interesujące umocnienia i nawodnione fosy. Nie zachował natomiast dachu obdartego przez miejscową ludność z dachówki, nie zachował szyb, drzwi i podłóg. Arkadowy dziedziniec wygląda rozpaczliwie. W bogatej niegdyś, barokowej kaplicy, jakies wyłoki czy otręby gniją pod obtłuczonymi stiukami.

W pozornie lepszym stanie znajduje się pałac w Goli koło Niemczy. Wzniesiony po r. 1580 (data rozpoczęcia budowy), położony na platformie



Zameczek w Piotrowicach Świdnickich.

mie opadającej dwoma dość stromymi zboczami, jest bez wątpienia jednym z najlepszych i najlepiej zachowanych renesansowych pałaców Śląska. Bryła surowa, o dużych płaszczyznach ścian urozmaicona jest bardzo pomysłowym ukształtowaniem ryzalitów i grą smukłych, „gotyckich” w proporcjach szczytów, przenikaniem się dachów i wesołą szachownicą sgraffita na elewacji frontowej. (Dekoracja ta odsłonięta została zapewne tuż przed wojną. Prace nie ukończono, za to na elewacjach bocznych, spod tynku ukazuje się cała, świetnie zachowana reszta tej dekoracji). Wokół pałacu zachowały się znaczne fragmenty dawnego, kamiennego muru obwodowego o niezwykle archaicznym wyglądzie. W elewacji ogrodowej znajduje się występ zwieńczony attyką-krenelazem (typ częsty na Śląsku) o motywach ćwierćkolistych, bliźnich zębów. Czy attyka ta jest pierwotna nie zdołałem stwierdzić, nie mogąc się wydostać na piętro. Do wnętrza prowadzi ładny, heraldyczno-mitologiczny portal, w którym zachowały się wspaniałe kute drzwi z wyjątkowo piękną metalową kołatką.

I tu dopiero zaczyna się przerażający widok: wnętrze całkowicie zniszczone, zasłane gruzem. Poniszczono kominki, pozrywane podłogi i stropy. W jednej ze sal — gdzie już nawet sufitu zabrakło — widać wiązanie dachowe, z którego kradziono elementy — wiązanie, które wisi w próżni już tylko na „słowo honoru”.

Lada wichura... Nie — prześliczny pałac w Goli nie jest tu jakimś wyjątkiem. Wcześniej niż Gole złodzieje-wandale kradnący na opał drzewo, zniszczyli jeden z najefektowniejszych zameczków śląskich — w Piotrowicach Świdnickich (między Świdnicą a Strzegomiem). Zabytek ten wzniesiony na planie prostokąta o znacznych rozmiarach był nakryty ogromnym siodłowym dachem, rozpiętym między dwoma trójkątnymi szczytami. W narożnikach opięty okrągłymi basztami i otoczony fosą do dziś dnia wypełnioną wodą — stwarzał jedyne w swoim rodzaju wrażenie wodnej fortecy magnackiej — istna makieta do historycznego, kostiumowego filmu „o miłości i bohaterstwie”. Pierwotnie fasadę (i tu zachował się poważnie zniszczony heraldyczny portal) pokrywała dekoracja sgraffitowa. Wnoszę to stąd, że po pierwsze sgraffito było w renesansowej

architekturze Śląska właściwie regułą, a po drugie, że chyba sgraffitowe wzory przedstawił Blätterbauer na drzeworycie zamieszczonym w książce Schrollera („Schlesien”, Verlag Carl Flemming — Glogau b. r.). Niestety — wystarczy porównać ten drzeworyt ze stanem obecnym: olbrzymi dach runął grzebiąc pod sobą sklepienia i kominki. Dlaczego? Przecież Piotrowice wyszły z wojny nietknięte? Ale przez szereg lat PGR-y, GOM-y i stadnina państwowa z pobliskiego Pastuchowa (gdzie zachowała się renesansowo-gotycka wieża mieszkalna) spierały się o to, kto ma się budynkiem zająć. W międzyczasie, podobnie jak w Goli, miejscowi wandale kradli drzewo na opał, aż rozkradli wiązanie dachowe do tego stopnia, że nie utrzymało ciężaru dachówek...

Wyczerpałem listę zamków i pałaców, o których chciałem pisać. To oczywiście nie wszystkie renesansowe obiekty tego rodzaju na Śląsku. Jedne znajdują się w albumie zamków. Do innych w ogóle nie dotarłem. Nie byłem w Chocianowie, ani Kliczkowie. Nie widziałem Czernej, Siedliska ani Luborazu. Nie sądzę jednak, by w większości znajdowały się one w stanie lepszym niż te, które tu opisałem. I nie sądzę, by można było tym opuszczonym, zdewastowanym dziełom architektonicznym przeciwstawić na innych terenach Polski obiekty równie interesujące — i to w takiej ilości. Jestem pewien, że — nie mówiąc już o Gorzanowie czy Plakowicach, ale Gola, Piotrowice, czy nawet Czarny Potok, położone w pobliżu Krakowa czy Warszawy, stanowiłyby miejsce masowych wycieczek, podziwu i troski. Fundusze na odnawianie czy nawet na wymyślne „rekonstrukcje” płynęłyby z ministerstw i Lajkoników. Tu — na Śląsku — niszczej zanedbane, pustoszone.

Jakoś nigdy nie potrafię kończyć swych artykułów akcentem optymizmu i zadowolenia. Zawsze muszę je zamykać jakimś apelem o ratunek, o opiekę. I tym razem nie mogę inaczej postąpić. Więc apeluję i to nie tylko do konserwatora, który stoi bezradny na tle panoramy niszczonej masowo zabytków, ale do Ministerstw, do instytucji, do ludzi, którzy mogą się przyczynić do tego, by uratować Kamienną Górę, Gole, Prusy i Prochowice, by zabezpieczyć Modłę, Gorzanów, Wojnowice, by odbudować Trzebinę, Piotrowice, Gorzanów czy Leśnicę.

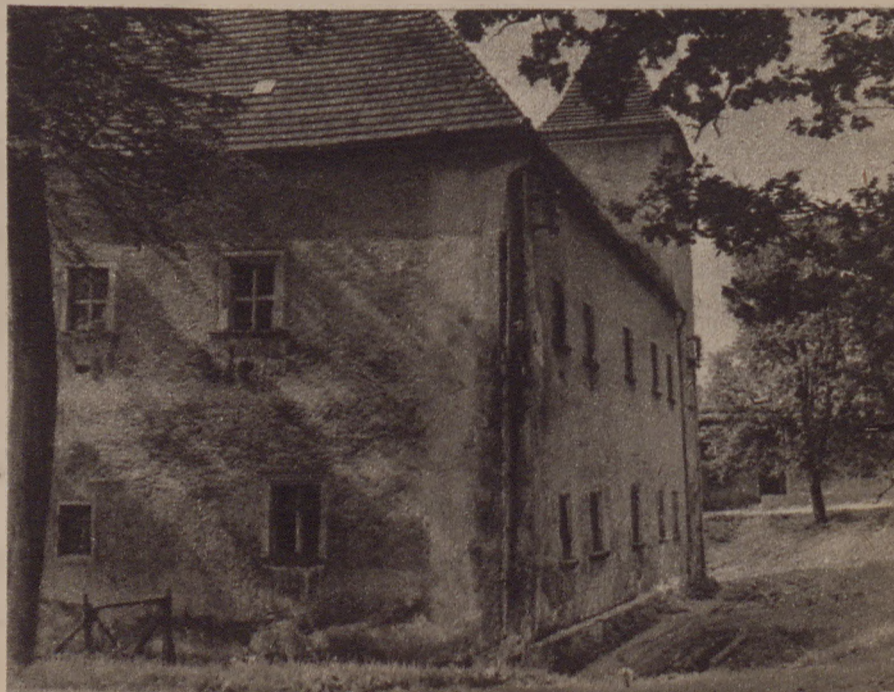


Fragment dziedzica arkadowego w Plakowicach pod Lwówkiem.



Renesansowy pałac z dekoracją sgraffitową w Goli koło Niemczy. I tu dach, z którego rozkradziono wiązania, grozi lada chwila zawaleniem.

Fragment XVI-wiecznego pałacu w Czarnym Potoku pod Jelenią Górą.



RYBACKIE PRAWA

Między niebem a wodą, na wąskim skrawku jałowej piaszczystej ziemi Półwyspu Helskiego leży Kuźnica — mała wioska rybacka. Życie w niej toczy się jednostajnym nurtem od blisko trzech stuleci. Fale Dużego i Małego Morza uderzają o wyrównaną linię piaszczystej plaży miarowo i rytmicznie w okresie „głady”, (tj. wtedy, gdy nie ma wiatru) oraz gwałtownie i z wściekłością w okresie sztormu.

„Dwa morza”, z których jedno, to „Małe”, groźniejszym jest nieprzyjacielem, ze względu na niszczące działanie fal, żywią tutaj mieszkańców, którzy od pradziadów trudnią się rybołówstwem. Wyjeżdżają na połowy na swych niewielkich łodziach wiosłowych do 3 km od brzegu, bez kompasu i mapy. Orientują się na morzu po słońcu, po wieży kościoła swarzewskiego, widocznej z daleka na odsłoniętym horyzoncie, wreszcie i po innych dowolnie zapamiętanych znakach widocznych z łądu. Dokładne zapamiętanie np. faktu, iż wieża kościoła winna pokrywać się z drzewem samotnym, gwarantuje szczęśliwy powrót do miejsca wyjazdu, a więc i do domu. Żyją tutaj rybacy jak gdyby poza Polską i poza czasem, który gdzieś tam w głębi łądu ma inne realne wymiary, inne tempo i inną barwę. Na pozór wydaje się, iż życie zastęguje tu w swych formach pierwotnych, że jest wegetacją — zwalnianą ludzi od zdrowego logicznego myślenia i związanego z tym działania, że jest tylko biernym wyczekiwaniem, aż ryba podpłygnie do brzegu. Ale to tylko refleksje z powierzchownej obserwacji dokonanej przez przyrodnego wędrowca; w rzeczywistości jest inaczej, tylko że dokonywane się tu zmiany nie łatwo dostrzec. Uchwycić zaś je można poprzez wnikliwą analizę materiałów historycznych porównanych z rzeczywistością dnia powszedniego. W dawny, tradycyjny świat wiosłowych i żaglowych łodzi rybackich wszedł obecnie nowy czynnik. Do wsi przyciągają młodych, zdrowych i silnych rybaków, wtargnęło rybołówstwo kutrowe. Kutry stacjonują w zasadzie w porcie władysławowskim, nie wprowadzają więc akcentu zmian do krajobrazu wioski. Zmieniają się natomiast dawne formy organizacyjne pracy rybaków, która od wieków była pracą zespołową, posiadającą z konieczności ściśle ustalone tradycje i przepisy i prawa. Na przykład podstawowym zespołem roboczym w bardzo intrygujących połowach węgorskich była maszoperia węgorska. Nazwa „maszoperia” wywodzi się z holenderskiego wyrazu „matschap”, co oznacza spółkę. W Kuźnicy istnieje nadal siedem takich maszoperii. Zapoznanie się z historią jednej z przykładowo wybranych maszoperii rzuci nam światło na zmiany dokonywane się we wsi rybackiej oraz na dawne prawa rybackie.

Maszoperia „Miszewi” istnieje od trzech pokoleń. „Szeprem” czyli kierownikiem jej jest obecnie Artur Budzisz. Stanowisko to niegdyś bardzo zaszczytne, nie wyróżniające się jednak żadnymi specjalnymi uprawnieniami — odziedziczył po swym ojcu, również szeprem Józefie Budziszu, który z kolei otrzymał je po ojcu Michale. Imię Michał zdrobniałe po kaszubsku „Misz” dało nazwę całej maszoperii, którą zaczęto nazywać maszoperią „Miszewych” — to jest rybaków należących do zespołu Michała, Misza. Maszoperia Miszewi liczy nominalnie 14 członków. Dokładne zbadanie listy członkowskiej uwidacznia fakt, że znajdują się w niej dwie spokrewnione

rodziny Budziszów oraz czterech rybaków należących do innych rodzin, pomimo, iż dwu z nich nosi nawet nazwisko Budzisz. Zarówno owe dwie rodziny rybackie Budziszów jak i jeden z owej czwórki rybaków są powiązani między sobą więzami pokrewieństwa. W przeszłości maszoperia skupiała zawsze najbliższych członków rodziny; jeżeli dziś w maszoperii stwierdzamy 3 osoby obce — to dlatego, że przestała obowiązywać dawna zasada, iż syn winien pracować przy ojcu. Przyjrzyjmy się tej sprawie bliżej. W jaki sposób dostali się do maszoperii ludzie obcy. Alojzy Struck pochodzi z Jastarni, od 1928 roku pracuje na kutrze, więc tylko nominalnie związany jest z maszoperią. Do maszoperii „Miszewych” dostał się tylko dlatego, że ojciec jego, obecnie nieżyjący był bardzo dalekim krewnym ze strony matki owych Budziszów. Józef Budzisz pochodzi z Chałup, które podczas ostatniej wojny zostały zniszczone, został więc do maszoperii przyjęty ze względu na swą trudną sytuację życiową oraz prawdopodobnie sentyment do nazwiska Budzisz, jaki niewątpliwie żywić musieli „Miszewi” do swego rodzowego nazwiska, które wywodzi się najprawdopodobniej z jednego pnia rodzowego. Wreszcie Gojke Alojzy należy do maszoperii Budziszów przez przypadek. Gdy bowiem dosięgnął przepisowego prawem zwyczajowym wieku, został przez samorząd wioskowy przydzielony do „Miszewych” dlatego, iż maszoperia ta w danym okresie posiadała najmniej członków. Od 1926 roku pracuje na kutrze i nie stawia żaków z maszoperią.

Nie ulega więc wątpliwości, co potwierdziły zresztą szczegółowe badania historii innych maszoperii, że maszoperia skupiała pierwotnie najbliższy krąg krewniaczy. Zawód rybacki był zawodem dziedzicznym, zawsze prawie synowie szli w ślady ojca — uczyli się zawodu pod jego doświadczonym okiem. W oparciu o te względy zwyczajowe prawo rybackie głosiło wyraźnie, że syn „ma prawo stawiać żaki ojcu”. Dawało to możliwość przelania całej wiedzy zawodowej (zresztą wyłącznie drogą przekazów ustnych) na mężczyzn danej rodziny. Z biegiem czasu jednak prawo stojące na straży dobra rodziny musiało się podporządkować prawu wioskowemu, które miało na celu dobro szerszego ogółu całej wioskowej społeczności. W jaki sposób to się odbywało pokazuje cytowany wyżej przykład Alojzego Gojke.

Drugie prawo tradycyjne rybackie głosi, że żaki zastawia się w obrębie specjalnie na ten cel przeznaczonych odcinków brzegu tzw. „toni”. TONI tych jest siedem, tyle ile maszoperii. Nie wszystkie jednak tonie są jednakowo dobre. Nie na wszystkich udają się połowy ze względu np. na morfologię dna, kształt linii wybrzeża, sytuację w stosunku do korzystnych wiatrów itp. Nigdy więc określona „toni” nie należy stale do tej samej maszoperii, lecz stale co roku następuje zmiana „toni”, aby nikt nie czuł się pokrzywdzonym. Ponieważ chodzi tu o wszystkie maszoperie we wiosce, więc samorząd wioskowy czuwa nad tymi sprawami. W obrębie toni natomiast rządzą się już sami maszoperiści — to znaczy mogą zastawiać żaki wspólnie „do pospołu” bądź indywidualnie na przydzielonych „sztedach” — miejscach. Maszoperia Miszewi w liczbie 12 osób w 1950 roku stawiała żaki na przydzielonej sobie toni „do pospołu”.

Każdy z rybaków dał określoną liczbę żaków, które wspólnie zasta-

wiano i wspólnie opróżniano z ryb, dzieląc je na równe „party” czyli części. Przy podziale nie sugerowano się tym, że w jednym żaku było więcej ryb, w innym mniej, a w jeszcze innym nic zgoła. Rybackie prawo reguluje również dokładnie sposób podziału zarobku w maszoperii. Po odstąpieniu do Centrali Rybnej węgorskiej i uzyskaniu za nie pieniędzy, dzieli się je na równe „party”. Part stanowi bowiem zapłatę za pracę i sprzęt oddany do połowu w maszoperii. Wszyscy rybacy, którzy dali równy wkład pracy i sprzętu, dostają równe party — jest takich jednak w maszoperii „Miszewych” aktualnie (1950 rok) tylko jedenastu, bowiem ten dwunasty nazwiskiem Józef Budzisz jest inwalidą, nie może wykonać przypadającej na niego pracy. Jego wkład do zespołu stanowią tylko sieci. Przy podziale więc dostaje on tylko jedną czwartą parta, resztę zaś biorą bracia, którzy za niego pracują. Stosowane zasady podziału wyrastają z głębokiego poczucia samodzielnego wypracowanej etyki zawodowej, zdrowego rozsądku i głębokiego poczucia solidarności zawodowej.

Skąd wzięły się jednak te niepisane nigdzie prawa rybackie, kto je ustanowił i kiedy? Bliższe badania pozwoliły stwierdzić, że owe prawa, które do dziś przetrwały w odpowiednio zmodyfikowanej formie, stworzyli sami rybacy. Znaleziony w archiwum starostwa wejherowskiego „Statut miejscowy dla gminy Kuźnicy” (Ortsstatut für die Landgemeinde Kustfeld) wyjaśnia bliżej sprawę owych tradycyjnych praw rybackich. Jest ich pisemnym potwierdzeniem. Został wydany w roku 1898 przez gminę kuźnicką w celu uniknięcia powtarzających się sporów przy przyjmowaniu rybaków do maszoperii oraz aby uregulować sprawę tak zwanej pomocy społecznej. Trzeba bowiem wiedzieć, jak głosi wstęp tegoż statutu, że maszoperie z dawien dawna ponosiły ciężary związane z opieką nad biednymi. Pierwszy i dziewiąty paragraf statutu głosi, że rybołówstwo żakowe w Kuźnicy uprawia się na toniach, na jednej toni pracować może tylko jedna maszoperia i granic toni należy bezwzględnie przestrzegać. Drugi ustala, a właściwie tylko sankcjonuje prawnie naczelnika — „szepra” maszoperii, przy czym stwierdza się tu, że od czasów najdawniejszych funkcja szepra należała do określonych rodzin, przechodząc z ojca na syna. Jego obowiązki omawiają dalsze punkty statutu. Może on przyjmować do maszoperii wyłącznie rybaków przysyłanych przez gminę. Nie wolno mu też bez pozwolenia gminy nigdzie wyjeżdżać. Jeśliby jednak w przyszłości powstać miały z tego tytułu nieporozumienia, spór ma rozstrzygnąć przedstawicielstwo gminy. Wedle trzeciego paragrafu tonie muszą być rokrocznie kolejno zmieniane.

Paragraf czwarty ustala termin zgłoszeń przystępowania do maszoperii węgorskich na dzień pierwszego stycznia każdego roku. Piąty z kolei głosi, że przyjęcie do maszoperii początkowo jest aktem dobrowolnej ugody — do chwili gdy wszystkie uprawnione do wykonywania rybołówstwa osoby będą należały do określonej maszoperii. Szósty jest uzupełnieniem piątego, wyjaśnia bowiem, że gdy po ukonstytuowaniu się wszystkich maszoperii okaże się, że dla kilku rybaków zabrakło tam miejsca, zarząd gminy decyduje do 10 stycznia każdego roku, któremu szeprowi danych rybaków przydzielić. Paragraf siódmy

zobowiązuje gminę do ścisłego przestrzegania, aby rybacy nie dokonywali zmian w maszoperii dopóki nie przejdą przez wszystkie tonie, które są niejednakowej jakości. Ostatni wreszcie dziesiąty paragraf podkreśla, że wszelkie spory dotyczące rybołówstwa węgorskiego rozstrzyga przedstawicielstwo gminy.

Sprawa granic toni potraktowana w statucie bardzo pobieżnie posiada w rzeczywistości cały szereg głębokich aspektów prawnych, przekazywanych jedynie tradycją ustną. Granice odcinków brzegu czyli toni, które mają w Kuźnicy swe nazwy specjalne, zna każdy na pamięć, mimo że nie mają specjalnych znaków rozpoznawczych. „Chude” tonie czyli takie o których z góry wiadomo, że nie rokują obfitych połowów, mają dodatkowo przydzielone miejsca połowu na tak zwanej „mewiej rewie”, mieliźnie na Zatoce Puckiej, lepsze tonie tej rekompensaty nie mają. Odrębnym zagadnieniem jest dalej wydzielanie w obrębie określonej toni miejsca czyli „sztedy” dla poszczególnego rybaka, bo zdarza się nieraz, że maszoperia nie łowi „do pospołu”. Widać z tego, że powstanie każdego najdrobniejszego prawa czy przepisu poprzedziła wnikliwa obserwacja i doświadczenie. Prawa i przepisy wyrastają z życia, które je dyktuje; ludzie zaś te przepisy skrzętnie rejestrują.

Warto jeszcze zwrócić uwagę na fakt, że statut nie omawia zupełnie zapowiedzianej we wstępie opieki społecznej nad biednymi, jakiej udzielać miały maszoperie. Zapewne powodem tego jest fakt, że tradycyjnie niesienie pomocy wdowom i sierotom po zmarłych rybakach było sprawą wewnętrzną tej maszoperii, do której należał mąż wdowy, a więc nie dotyczyło ogólnowioskowego porządku. Wdowa pozostawiała sieci do użytku maszoperii męża i zawsze dostawała należny jej part z podziału, choć sama w połowach udziału nie brała. Gdy sierotą zostawał chłopiec, zdarzało się bardzo często, że przyjmowano go do maszoperii na nieprawidłowego członka wcześniej, aniżeli to przewidywał zwyczaj, aby dać mu możliwość zarobku. Również i chorym rybakom przysługiwał part. Nie zapomniano też o starcach, którym dawano zawsze ryby ilekroć przyszli na brzeg. Zebrane materiały terenowe ze wsi rybackich Pomorza potwierdziły fakt, że opiekę nad biednymi, wdowami, sierotami sprawowały maszoperie wyręczając w tym gminę. Ponieważ wszyscy mieszkańcy wioski byli członkami określonych maszoperii, więc wszyscy z tej pomocy, ustanowionej przez samych rybaków korzystali. Funkcje opieki społecznej tak zrosły się z pojęciem „maszoperii”, że ów omówiony wyżej statut, ustalając, iż rybołówstwo żakowe uprawia się w maszoperiach na określonych toniach — milcząco zakłada, że współczesnym funkcje te są dobrze i dokładnie znane. Uświęcone tradycją prawa rybackie obejmują szereg zagadnień: jak sprawy ściśle organizacyjne, ustalanie wieku i sposobu przyjmowania członków do maszoperii, określanie podstawy podziału zarobku, podziału toni — „szted”; wreszcie ustalają problem pomocy wdowom, sierotom i chorym — czyli obejmują całokształt spraw obchodzących konkretną społeczność wioskową.

JADWIGA KUCHARSKA

WARSZAWSKI DYLIŻANS POCZTOWY

I OSTATNI DYSPOZYTOR

ALEKSANDER ŚNIEŻKO

Ostatni dyliżans pocztowy znikł z terenu Warszawy dopiero 50 lat temu. Dyliżans ten codziennie odjeżdżał z poczty do Grójca o 9 rano i o 10 wieczór. Poczta konna mieściła się na Placu Wareckim. Była to instytucja państwowa, dzierżawiona antreprenierom. Nadzór państwa ograniczał się jedynie do tego, że raz na rok zajeżdżał tu w suto szamerowanym i lśniącym wyguzowanym mundurze inspektor pocztowy, by siarczyście skłać brudy na pocztal-terii i zainkasować 25-rublową łapówkę. Ostatnim dzierżawcą konnej stacji pocztowej w Warszawie był Aleksander Pajewski, dymisjonowany pułkownik dragonów.

Gdy w latach 1903—1905 na Placu Wareckim rozpoczęto budowę gmachu Poczty Głównej, pocztal-terię rozwiązano.



Oto parę szczegółów o ostatnim warszawskim dyliżansie pocztowym i jego dyspozytorze. Informację tę czerpiemy z poślódkich kart ręcznie pisanej monografii Jana Szczepkowskiego pt. „Warszawa w latach 1885—1904“.

Karetkami pocztowymi z Placu Wareckiego jeżdżono nie tylko do Grójca i Sękocina, ale i w innych kierunkach, np. do Nowego Dworu. Zabudowania stacji pocztowej miały w sobie dużo z owego niewysłowionego uroku romantyczności, którą uosabiał m. in. pocztylion z trąbką. Przy starej bramie wjazdowej na Placu Wareckim stały parterowe mufowane domki. Na lewo — kancelaria, gdzie wydawano kwity (ceduły) na opłacone miejsce (do Tarczyna 1 rb. 20 kop.), a na prawo — poczekalnia. W głębi dziedzińca znajdowały się warsztaty naprawcze i szopy na pojazdy.

Nad przestrzeganiem rozkładu jazdy i nad porządkiem w poczekalni czuwał stary pan Antoni. Wiek już go pochylał. Okulary, choć sznurkiem związane z tyłu głowy, zsuwały mu się stale na koniec nosa. Tego nosa, którego przejrzały kształt i tęga polichromia świadczyły, że wła-

ściel nie pogardzał dobrą anyżówką.

Panu Antoniemu można było w ciągu dnia zostawić rzeczy na przechowanie. Choć kwitów nie wydawał, nic tu nigdy nie zginęło. Stałym gościom zazwyczaj radził przychodzić jak najwcześniej. „Otrzymasz pan — mówił — lepsze miejsce w rogu karetki, można więc będzie głową o dwie się oprzeć ścianki i spać wygodnie“.

Niechby nawet i parę osób już na owe „lepsze miejsce“ czekało, pan Antoni zwyczajów swoich nie zmieniał.

Półgłosem odmawia wieczorne modlitwy. Na tylnej ścianie krucyfiks, pod nim stolicek i krzesło staroświeckie. Oparł się na stoliku, pół siedzi, pół klęczy. Skończył koronkę i godzinki śpiewa. Za wielkim pobielanym piecem świerszcz mu wtóruje. Lampka naftowa słabo rozświetla mroki dużego pokoju. Dziwny nastrój. Jakby o pół wieku się cofnął, bo to za oknem konie szlapają, a trąbka pocztylioniska gra wsiadanego. Pan Antoni przerywa śpiewanie godzinek, świerszcz również milknie.

Niuch tabaki, otarcie nosa i już

wspólnie z pocztylionem lokuje walizki na dachu karetki pocztowej przykrywając je plandeką. Z kolei następowało uroczyste sprawdzanie kwitów na prawo jazdy i wreszcie zdyscyplinowane sadowienie pasażerów. Pod tym względem wyroki pana Antoniego były bezapelacyjne. Gdy trafił się człowiek starszy, lub gdy któryś z pasażerów był niezdrowy, pan Antoni wyznaczał mu lepsze miejsce, nie licząc się z kolejnością zgłoszeń. Usadowiwszy wszystkich jak należy, składał jeszcze odjeżdżającym życzenia szczęśliwej podróży, nie gardząc oczywiście datkiem na tabakę, po czym zatrząskiwał drzwiczki dyliżansu.

Pocztylion w ciepłym płaszczu z ogromną peleryną i przewieszoną przez ramię trąbką zajmował swe miejsce pod fordeklem, gdzie leżały już worki z korespondencją. Rozlegała się pobudka i cztery ręce bachmaty ruszały z kopyta.

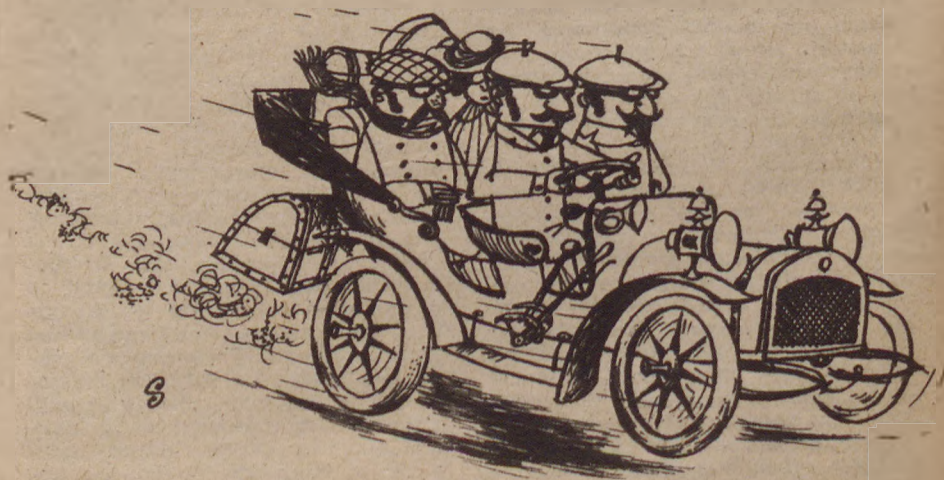
Ruszały pięknie, aby przechodnie warszawscy wiedzieli, że to nie omnibus żydowski, ale poważny pocztowy dyliżans w kurs regularny rusza.

Pocztowe te koniska już w Alejach Jerozolimskich, gdzie przechodzień był rzadki, zwalniały biegu. Również niezbyt pospieszonym kłusem szły wzdłuż długich, wapnem bielonych parkanów, za którymi na przestrzeni od dworca wiedeńskiego

aż do przedmieścia Ochota, ciągnęły się sady owocowe i kapusta. Za Ochotą kończyły się „końskie łąki“ i zaczynała szosa. Tu już można było drzemać do Sękocina, gdzie pasażera budziła wyciągana fortissimo przez pocztyliona na trąbce melodia frywolnej piosenki „Ociec z matką w Warsiawie...“

Pocztylion warszawski budził tu swoich pasażerów, gdyż ustępował miejsce swemu następcy, by samemu czekać na karetkę z Grójca No — a wiadomo, przy pożegnaniu kapnąć może niejedyn grosz „na piwo“. W dużym — nie istniejącym już dziś — domu pod lasem Sękocińskim znajdowała się pocztal-teria. Tu zmieniała się nie tylko obsługa dyliżansu, ale i konie. A że trwało to dość długo, można było wysiąść i zajść do wnętrza. Poczekalnia — to duży i jasny pokój. Na pokrytym białym obrusem stole ustawione były szklanki i zakąski, a z boku na stoliczku mile i zachęcająco szumił samowar. Ceny były niskie; pasażer mógł tu naprędce przekąsić, nim nowy pocztylion zagra na trąbce pobudkę do dalszej drogi.

Dzisiaj cuchnąca benzyna i bezduszone pudło samochodu z przeraźliwym wrzaskiem klaksonów, pogrzebały na zawsze poezję lokomocji pocztowej.



Rys. J. Smólski.

ODKRYWCY



DZIAŁ MŁODYCH KRAJOZNAWCÓW

Wzdłuż białej wapiennej drogi ciągnie się kilkunastokilometrowy łańcuch domów. Tu i ówdzie ze zboczy łagodnych wzgórz sterczą niewielkie ostańce. To Sułoszowa, jedna z najdłuższych w Polsce wsi. Olbrzymie zbiorowisko zagród kryje w sobie wiele zabytków dziewiętnastowiecznej kultury chłopskiej. Sporo w nim jeszcze tkwi zagadek do dziś nie rozwiązanych. Wyjaśnienie niejednej z nich ułatwiłoby pracę nie tylko historykom wsi podkrakowskiej lecz również poważnie uzupełniłoby naszą wiedzę o życiu polskiego chłopca w dawnych wiekach. A jednak tak się składało, że

nigdy w Sułoszowej nie przeprowadzono do końca systematycznych badań etnograficznych, poprzestając na krótkich, fragmentarycznych obserwacjach. Co więcej, zaledwie cząstka z tych obserwacji doczekała się następnie opublikowania. Toteż zabytki Sułoszowej pozostają nadal nieznanymi nawet szczupłemu gronu uczonych. Pozostają nieznanymi i niszczonej z dnia na dzień.

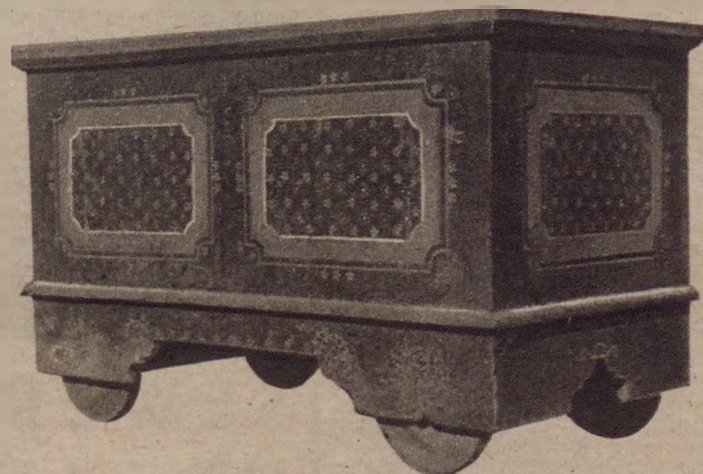
O tym jak łatwo dokonać w tej wsi odkryć naukowych przekonała się grupa harcerzy z 9 drużyny krakowskiego hufca Zwierzyniec oraz uczestnicy wycieczki trzech krakowskich szkolnych kół krajoznawczych.



O malowniczych starych chałupach, dawnych ludowych strojach i kolorowych meblach czytamy od czasu do czasu w powieściach, widzujemy je w teatrze i na filmie. Cóż jednak wie przeciętny mieszkaniec wielkiego miasta o sztuce wiejskich kowali-artystów. Poszukiwanie zabytków artystycznego kowalstwa ludowego wymaga od zbieracza znacznej spostrzegawczości. Ozdobne okucie znajdziemy na starej skrzyni i na drzwiach chałupy. Delikatny ornament wybijany wężykiem, gwiazdką lub półksiężycem widnieje i na starych skoblach i zardzewiałych pierścieniach okuć dyszla. Jeszcze dziesięć lat temu sułoszowscy kowale kuli na dyszlach takie ozdoby jakie znalazł Andrzej Kramarski na wozie Macieja Dolnego. Na pozór zatarty już całkowicie ornament odcisnął się na potartej ołówkiem bibułce.



Na tyłach domostw mieszkalnych rozciąga się istne królestwo budynków gospodarczych, chlewni, spichrzów i stodoł. Obok nowoczesnych ceglano-betonowych budowli, będących dumą właściciela i przedmiotem zazdrości sąsiadów znajdujemy i takie, o których gospodarz mówi z westchnieniem „stoją, ale się walą”. To dawne zagrody sprzed 100 a czasem i więcej lat budowane w obronny czworoboki. Nad zrębami z potężnych, lupanych z jednego pnia bali, tam gdzie ze starodawnych węglów „na obłap” sterczą nierówno poprzycinane „ostatki” belek — piętrzą się słomiane czapy strzech. Stare budownictwo gospodarze Sułoszowy i otaczających ją wiosek to problem do dziś nie wyjaśniony. Sułoszowskie stodoły mają dach skonstruowany w ten sam sposób jak domy bagiennej osady biskupińskiej sprzed 2500 lat! Dziwny wieloboczny plan tych starych budowli jest dalszą zagadką ludowego budownictwa tego regionu.



Po naciśnięciu śmiesznej, staroświeckiej kłamki, drzwi ustępują. W głębi sieni panuje półmrok. Ściany pokrywa warstwa wapna zmieszane z błękitną farbą. Pośrodku rysuje się łuk komina, tak charakterystyczny dla dawnych domów sułoszowskich. A przecież jeszcze żyje tu wspomnienie chałup kur-

nych, gdzie dym z paleniska snuł się po izbie gryząc w oczy. Uchodził przez uchylone drzwi i szpary w dachu. Takim kurnym domem bez komina była chałupa Macieja Dolnego (nr 97) zbudowana tuż po powstaniu styczniowym, w roku 1865. Dopiero pod koniec ubiegłego wieku uległa przebudowie.

Nie mniej niespodzianek kryją wnętrza sułoszowskich izb. Tu na środkowej belce stropu nieraz znajdziemy obok cyrklowej gwiazdy wyrytą datę budowy domu i niezdarne napisy w rodzaju „Boże bło-

gosław temu domowi...” Podłogi — jak za dawnych lat — stanowi tu ubita stopami całych pokoleń glina. A pod ścianą najbardziej ongiś efektowny sprzęt izby — malowana skrzynia. Niegdyś była ona chlubą

wychodzącej za mąż dziewczyny. O niej to właśnie układano pieśni weselne. W czasie uroczystej przeprowadzki panny młodej do mieszkania męża druzbnowie toczyli za nią malowaną skrzynię. Toteż jarmarczny stolarz z pobliskiego miasteczka pokrywał skrzynię jaskrawym ornamentem. Skrzyń takich jest w Sułozowej dziesiątka. Na niektórych wi-

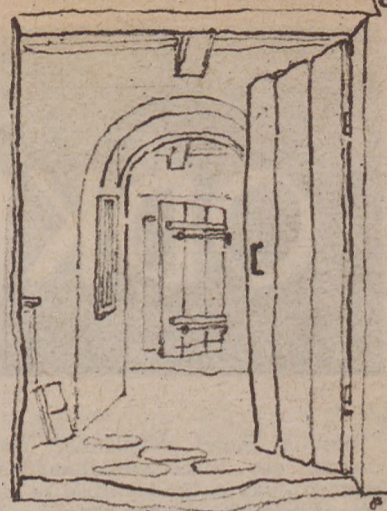
dzimy jeszcze dawne malowidła w pełnej krasie. Świetnie zachowanym okazem jest np. olkuska skrzynia ze schyłku ubiegłego wieku odkryta u Władysława Filipowicza (nr 236). Inne jednak, zbutwiałe i odrapane wędrowały z izby do komórek, chlewów i na przesiąknięte zapachem tytoniu strychy.



Taką właśnie zapomnianą skrzynią była ta, którą znaleźli harcerze u Jana Kuśmierza (nr 120). Przeszło 70 lat temu kupiono ją na jarmarku w Olkuszu. Na zielonym tle mieniły się jaskrawo żółte, niebieskie i czerwone kwiaty. Zamek osłaniał zgrabnie wycięty z blachy sercowaty szyldzik. Spod ozdobnie wyrzynanych desek sterczały zamiast nóg czerwone koła. Dziś ze zmurszałego drewna huszczą się kolorowe kwiatki. Mimo zniszczenia można jeszcze odtworzyć jej ornament na podstawie resztek malowidła. Czy tego rodzaju skrzynie rzeczywiście wyko-

nywali ongiś olkucy stolarze? A może ktoś przywoził je na olkuskie jarmarki z innej miejscowości? Na te pytania jednak odpowiedzą badania wśród olkuskich rzemieślników. Tymczasem skrzynię trzeba narysować. Szkic wykonany w terenie musi być narysowany starannie o ile ma zachować wartość naukowego dokumentu. Nie łatwa to sprawa, gdy deszcz zalewa kartki zeszytu a zmarznięte palce z trudem utrzymują ołówek. Przekonali się o tym harcerze z „dziewiątki”, Bogusław Kubica i Krzysztof Mikulski.

Nie wystarczy narysować znalezionej na wsi skrzynię, okucie, lub zrobić plan starego budynku. Trzeba również o odkrytym zabytku zebrać jak najwięcej wiadomości i — o czym się nieraz zapomina — zanotować nazwisko właściciela. Z notatek naszych zechcą może później skorzystać muzeolodzy, pragnąc zakupić odkryty przez nas obiekt.



Oto plon obserwacji zebranych przez młodych krakowskich krajoznawców w czasie dwu jednodniowych wycieczek. Ale ani Sułozowa ani region podkrakowski nie mają monopolu na zabytki dawnej kultury wiejskiej. Takich wsi jest w Pol-

sce setki. I — co najważniejsze — o większości z nich uczeni nasi nie potrafili powiedzieć. Każda więc obserwacja etnograficzna, każda notatka i szkic wykonany w tych wioskach, będą miały wartość prawdziwego odkrycia naukowego.

T E K S T Z D J Ę C I A
LESZEK DZIĘGIEL ZBIGNIEW ŁAGOCKI

JAK SIĘ PRZYWOŁUJE KONIA?
JAK SIĘ ODPĘDZA KOTA?
JAKI GŁOS WYDAJE ŚWINIA KIEDY
JEST GŁODNA?
JAK SIĘ NAZYWA NARZĘDZIE DO
PRZĘDZENIA LNU?

— oto kilka pytań z kwestionariusza do badań słownictwa gwarowego. Któż by przypuszczał że odpowiedzi na tego rodzaju dziwne, a nawet niekiedy na pozór humorystycznie brzmiące pytania mogą się przydać badaczom mowy polskiej i pokrewnych jej języków słowiańskich? A jednak tak jest. Dawne gwarowe nazwy zwierząt i narzędzi używane do dziś w polskich wsiach znajdują odpowiedniki w językach innych ludów słowiańskich w Serbii, Czarnogórze i Bułgarii. I tu i tam przetrwały one tysiące lat jakie dzielią nas od czasów, gdy wszyscy Słowianie stanowili jedną wspólnotę językową. Nazwy te pozwalają językoznawcom odświeżyć prastara, nigdzie nie spisana historię słowiańskich narodów tego okresu. Na to jednak potrzeba uczonym jak najwięcej przykładów nazw gwarowych, nadesłanych z rozmaitych okolic Polski. Toteż Zakład Językoznawstwa Polskiej Akademii Nauk w Warszawie z inicjatywy Wydziału Krajoznawstwa i Turystyki Min. Oświaty organizuje konkurs (połączony z nagrodami) gwaroznawczy pod hasłem „Czy znasz wieś i mowę jej mieszkańców”. Kwestionariuszy wraz z załączoną do nich instrukcją dostarczają opiekunowie Szkolnych Kół Krajoznawczo-Turystycznych. Oni też udzielają wszelkich bliższych informacji na temat konkursu.



SEWERYN
UDZIELA

Wakreszenie „Orlego Lotu” schodzi się z setną rocznicą urodzin Seweryna Udziela (ur. 24. XII. 1857 r.) i z dwudziestą rocznicą jego śmierci (zm. 26. IX. 1937 r.). Wspominam ze wzruszeniem te

momenty, gdyż imię Seweryna Udziela, twórcy Muzeum Etnograficznego, jest ściśle związane z dziejami „Orlego Lotu”.

W r. 1925 poświęciłem jeden zeszyt „Orlego Lotu” Sewerynowi Udzieli i pisałem wtedy: „Redakcja „Orlego Lotu” od pierwszej chwili swego istnienia ma w Sewerynie Udzieli serdecznego przyjaciela i doradcę. Zawsze chętny i uczynny poświęca czas i pióro swoje dla ukochanej przez Niego młodzieży, wśród której wypatruje miłośników ludu i chętnie przygarnia tych, którzy odnoszą się do niego z prośbą o rady i wskazówki, którzy składają dary dla Muzeum Etnograficznego. Redaktor „Orlego Lotu” spędził z Nim niejedną godzinę na młej i pouczającej pogawędce i niejedną myśl i inicjatywę, choć nie podpisana jego imieniem, Jemu swój początek zawdzięcza”.

Tadeusz Seweryn, obecny dyrektor Muzeum Etnograficznego, we wspomnieniu pośmiertnym tak charakteryzuje współdziałal Udziela w organizacji Kół krajoznawczych młodzieży szkolnej: „Kiedy prof. Leopold Węgrzynowicz tworzył organizację kół krajoznawczych młodzieży, dyr. Udziela był obok prof. Ludomira Sawickiego jedynym, który podsycał w nim wiarę w powodzenie tej sprawy. Współpracował z Komisją Kół Krajoznawczych, wygłaszał dla młodzieży odczyty na tematy etnograficzne, a w „Orlim Locie” ogłaszał kwestionariusze, wyznaczał nagrody za najlepszy zbiór materiałów, był jednym z tych, którzy organowi kół krajoznawczych nadali charakter pisma etnograficznego. Młodzież odwzajemniała mu się licznymi darami, które składała w ukochanym przez Niego Muzeum Etnograficznym na Wawelu”.

W „Orlim Locie” ogłaszał Seweryn Udziela wspomnienia swojej młodości: w r. 1925 „Pierwsze kroki na polu etnografii” a w r. 1937 „Wesołe opowiadania wesołego chłopca”.

Seweryn Udziela urodził się w Starym Sączu. Ojcem jego był miejscowy sędzia. Charakteryzując czasy swoich lat szkolnych pisze: „W tych to czasach przeżywałem chłopięce lata... Czytałem wszyst-

ko, co mi tylko wpadło w ręce. Biegalem wszędzie, wspinałem się na wieże kościelne, na wierzchołki gór i skał, wlaźłem do sklepionych piwnic kościelnych i w starych zamczyskach, do jaskół, chcąc zobaczyć, co się tam kryje. O wszystko wypytywałem pilnie i natrętnie to rodziców, to krewnych, to słuzące, to kolegów, to gości, którzy rodziców odwiedzali... Pamiętam że w dwunastym roku życia złożyłem z arkusza papieru książeczkę o 16 karteczkach i spisywałem, na jakie niedomagania i choroby używają ludzie różnych ziól...” Potem zaczął spisywać zagadki, opowiadania, baśni. Było to w r. 1872. Później studiuję opisy i rozprawy etnograficzne i sam zapoznaje się ze zwyczajami ludu, jego życiem materialnym i duchowym. Przez lat prawie sześćdziesiąt gromadził zbiory etnograficzne, które stały się podstawą Muzeum Etnograficznego otwartego w r. 1911. Dziś to Muzeum mieści się w starym ratuszu kazimierzowskim w Krakowie na placu Wolnica. Opiekowało się nim Towarzystwo Muzeum Etnograficznego, które po śmierci Seweryna Udziela nadało temu Muzeum jego imię. A może w setną rocznicę urodzin tego wybitnego krajoznawcy młodzież ze szkolnych kół krajoznawczych zorganizuje badania etnograficzne jakiegoś wybranego zagadnienia kultury wiejskiej? Proponuję żeby każde koło opisało istniejące w jego okolicach zwyczajne świateczne polegające na przebieraniu się za zwierzęta (wilki, kozy, niedźwiedzie, turonie) lub na chodzeniu po wsi w dziwnych słomianych kostiumach drabów noworocznych, dziadów śmigających, marzenny itp. Do opisów należałoby załączyć rysunki lub fotografie kostiumów,

LEOPOLD WĘGRZYNOWICZ

Opisy dorocznych zwyczajów prosimy przysyłać pod naszym adresem (Kraków, ul. Basztowa 6). Za najlepsze opracowania wyznaczamy nagrody książkowe. Opracowania prześlemy etnografom zajmującym się dorocznymi zwyczajami ludu wiejskiego w Polsce.

HERBY NA KAFLACH

widnieją w sieni budynku dworskiego w Krzyszkowicach (pow. myślenicki), mieszczącego obecnie siedzibę Gromadzkiej Rady Narodowej. Stoi tam piec wysoki około 2,5 m. Dekoracją o motywach heraldycznych wymalowano na kaflach błękitną farbą, zapewne tlenkiem kobaltu. Poszczególnych znaków jest około setki, przy czym motywy przeważnie się nie powtarzają. Ozdobne kafle posiada również strona pieca zwrócona ku ścianie. Pośrodku frontowej ściany umieszczono kartusz z herbami Rogala i Leliwa, zapewne związanymi z fundacją.

Czas budowy pieca nie jest wiadomy. Budynek dworu wzniesiony w I-szej połowie XIX wieku, został jednak w późniejszym okresie przekształcony i piec pochodzi prawdopodobnie z czasu przebudowy. Wskazywałoby na to także użycie zbyt wielu herbów rodowych, o znaczeniu już tylko dekoracyjnym, a nawet w pewnym sensie w pretensjonalnej manierze romantycznej. Również użycie szeregu znaków nieznanych heraldyce polskiej potwierdza to przypuszczenie. Pewne naiwne traktowanie tematu i stosowanie w ornamentacji dość banalnych form — wskazywałoby na produkcję jakiegoś małomiasteczkowego warsztatu zdunskiego.

Piec w Krzyszkowicach jest jednak ciekawym zabytkiem, a co warto podnieść — bardzo dobrze utrzymanym. Niestety w większości pałaców i dworów cenne zabytkowe piece uległy dewastacji i zniszczeniu. Tak więc każdy istniejący jeszcze obiekt tego rodzaju nabiera szczególnego znaczenia.

Nadesłał A. Łaszczynski
(Kraków)



GROTA W STUDNI

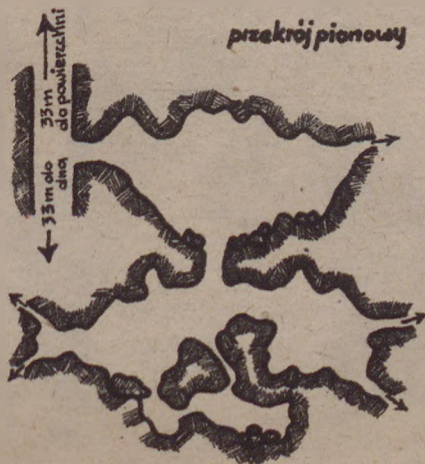
Wokół studziennego kolowrotu uwiłaja się żywo grupka młodych ludzi odzianych w kombinezony. Jeden po drugim uzbrojeni w karbidowe lampy opuszczali się w zawieszonym na linie wiadrze w głąb 66-metrowej studni. Nie docierali jednak bynajmniej do lustra wody. Gdzieś w połowie chybojące się wiadro zatrzymało i pasażer opuszczał swą zaimprovizowaną windę nikiącą w ścianie. Wiadro zaś wracało w górę.

Na 32 metrze w powierzchni wykutych w litej wapiennej skale ścian studni czernieje otwór jaskini. Natknęli się na nią przed laty wierzący studnię robotnicy. Nie natrafiając na dnie nieoczekiwanej próżni na wodę, wiercili głębiej, nie usiłując zapuszczać się w system podziemnych korytarzy. Miały lata i odkrycie poszło w niepamięć. Wiedział o nim tylko ksiądz

zamieszkujący plebanie we wsi Niegołowa pod Myszkowem. Od niego to właśnie dowiedzieli się grotolazi o istnieniu nieznanego im jaskini. W marcu tego roku pod kierownictwem Ludwika Kniesznera wyruszyła z Krakowa 5-cio osobowa grupa, która zbadała całą grocie i sporządziła jej plan. Korytarze tej groty liczą w sumie około 80 m i kończą się ślepo.

Odkrycie Księżej Groty (gdyż tak nazwali ją krakowscy grotolazi) to tylko jedna z wielu niespodzianek jakie kryją w sobie tak zdawałoby się szczegółowo zbadane podziemia Jury Krakowsko-Wieluńskiej. Dowiodły tego zresztą tegoroczne poszukiwania na wapiennych pustkowiach skalnych w okolicy Zawiercia. Ale o tym — innym razem.

L. Z.



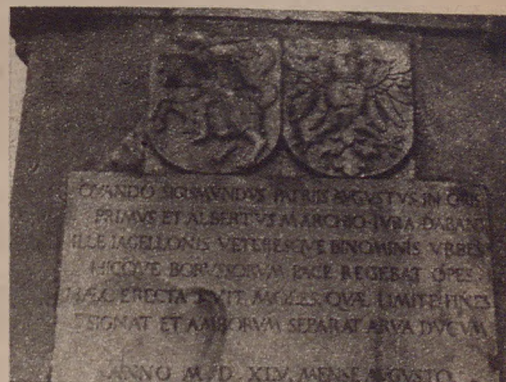
DAWNE SŁUPY

W związku z notatką pt. „Słup na granicy” ogłoszoną w n-rze 8/10 „ZIEMI” za m-c sierpień 1957 r. podpisaną inicjałami „E. M.” pragnę kilka skromnych uwag dodać na ten temat. Wspomniany słup graniczny w Prostkach nad rzeką Łęg ostatni raz był odnawiany w 1905 roku. Widoczne na zdjęciu tarcze herbowe (Pogoń i jednogłowy orzeł z koroną na szyi z literą „S” na piersi) oraz napis poniżej umieszczony stanowią kopię oryginału, który był przechowywany w Państwowym Muzeum Pruskim w Królewcu. Widać z tego, jaką wagę przywiązywali Niemcy do tego rodzaju pamiątek historycznych. Wśród ludności miejscowej istnieje legenda, że pod owym słupem zakopana została zastawa stołowa po uczcie, wydanej na cześć spotkania Zygmunta Augusta z księciem pruskim Albrechtem.

W ub. roku starałem się zwrócić uwagę na ten dokument historyczny przedstawicielom Ministerstwa Kultury i Sztuki, a jeden z nich obiecał przyjąć i obejrzeć zdjęcia, lecz tego nie uczynił.

Nie jestem pewien czy orzeł (widoczny na tarczy) z okresu panowania ostatniego z Jagiellonów miał koronę na głowie, czy nie. O ile ją miał, zachodzi podejrzenie, że władze niemieckie, ewentualnie powojenne władze polskie spowodowały usunięcie tej korony. Prawdopodobieństwo tego faktu nasuwają ślady pozostałe na słupie — widoczne na zdjęciu.

Paweł Puchalski, Warszawa



SŁUP NA GRANICY PÓL TARCZKA I BODZENTYNA W REGIONIE ŚWIĘTOKRZYSKIM. FOT. TADEUSZ PRZYPKOWSKI





JUGOSŁAWIA?

Autor artykułu, ur. w roku 1923. Sławista, adiunkt Zakładu Słowianoznawstwa PAN w Krakowie. Prowadzi studia nad językiem macedońskim. W tym celu odbył niedawno podróż po jugosłowiańskiej części Macedonii. Fotografie autora.

NIE BEDE PISAŁ o Jugosławii reportażu ekonomiczisty czy socjologa. Było tego już dosyć w naszej prasie. Nie będę też opisywał wielkich miast na północy kraju: Belgradu i Zagrzebia. Większość bowiem naszych publicystów tam właśnie bawiła i przez pryzmat tych miast patrzyła na cały kraj. Chcę po prostu podzielić się z czytelnikiem wrażeniami z podróży po tzw. prowincji i to przede wszystkim położonej w głębi Półwyspu na południu kraju. Zaczniemy od Macedonii.

W świadomości przeciętnego Polaka Macedonia jest pojęciem bliżej nieokreślonym; kojarzy się co najwyżej z postacią Aleksandra Macedońskiego i starożytną historią. Macedonia jednak jugosłowiańska (Wardarska), szósta republika autonomiczna Federacji, tylko geograficznie i terminologicznie nawiązuje do Macedonii starożytnej. Pod względem etnicznym jest to już od VII w. kraj słowiański, ojczyzna pierwszego literackiego i liturgicznego języka Słowian — staro-cerkiewno-słowiańskiego. Kraj górzysty, odcięty w większej części od pozostałych prowincji Jugosławii wysokim pasmem Szar-Planimy, sam podzielony na szereg górskich kotlin, wciska się wzdłuż bystrego Wardaru pomiędzy Albanie i Bułgarię wyraźnie orientując się ku Morzu Egejskiemu. To geopolityczne położenie na starym szlaku wiodącym z Europy Środkowej poprzez Pannonię (Węgry) do Grecji i krajów Lewantu decydowało o jego historii. Ono to sprawiło, że panowanie tureckie utrzymało się tu najdłużej, bo aż do 1912 r., a wraz z nim głębokie wpływy kultury muzułmańskiej. Wpływy te widoczne są w tzw. „krajobrazie kulturowym” nawet z okien ekspresu Paryż—Ateny, wyruszającego na południe z Belgradu przez Nisz do Skopja. Z chwilą gdy opuścimy dolinę Jużnej Morawy — przypominającej w wielu miejscach nasz Poprad — i wjedziemy w granice Macedonii, od razu w okolicach Kumanowa uderzą nas smukłe, do białych ołówków podobne minarety wśród płaskich czerwonych dachów wsi. Na pastwiskach widać już bawoły, a na drogach od czasu do czasu jeźdźców w turbanach, jadących na osłach lub drobnych konikach. Jest to rejon zamieszkały przez ludność mahometańską, w większości albańską (sziptarską, jak brzmi jej rodzima nazwa).

DWIE STRONY RZeki

Orientalne cechy krajobrazu panują zdecydowanie nad starą dzielnicą Skopja, stolicy republiki.

Miasto, które po wojnie zwiększyło w dwójnasób swoją ludność (z 80 tys. na 160 tys.), składa się z dwóch kontrastowo różnych części przedzielonych mknącym po kamieniach zielonym Wardarem. Na lewym brzegu rzeki leży tzw. „tursko maalo”, czyli stara dzielnica turecka wypełniona gęstwą parterowych, lub co najwyżej piętrowych domków, przeważnie z niewypalanej cegły, otaczająca półkuliście skaliste wzgórze z ruinami starej tureckiej twierdzy (kale). Ponad płaskie dachy domów wznoszą się przysadkowate kopuły i strzeliste minarety uderzająco licznymi meczetów i... kilka nowoczesnych bloków mieszkaniowych. Z tej starej dzielnicy, do której jeszcze wrócimy, by zapuścić się w jej wąskie



Kobiety macedońskie w drodze na targ. Wieś macedońska wciąż jeszcze ubiera się w tradycyjne stroje ludowe.

Scena uliczna z dzielnicy „tursko maalo” Strój albańskich przybyszów rozpowszechnia się wśród miejscowej ludności.



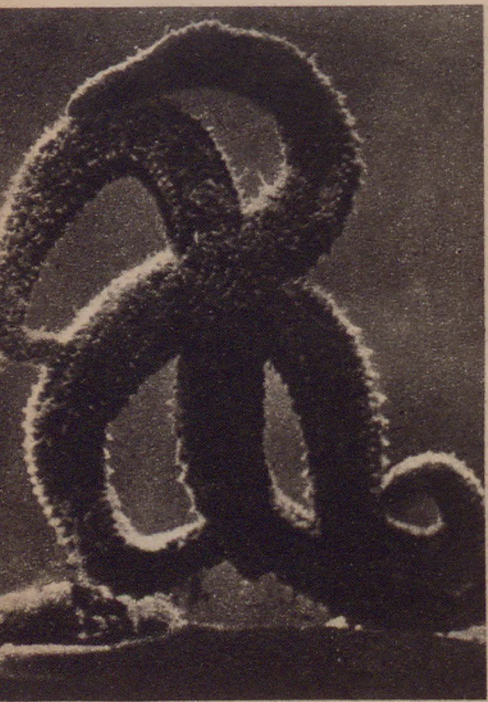
ROZGWIAZDY

Różnobarwne rozgwiazdy morskie i cała ich rodzina *echinodermów* czyli „kolczastokórych“ posiada najdziwniejsze kształty. Począwszy od osobników o wydłużonych cienkich ramionach i węzowych skrętach, poprzez spłaszczone 5-o i wieloramiennie rozgwiazdy do okrągłych, postrzępionych języków morskich wszystkie te żyjątka pokryte są niezliczoną ilością kolców.

Te kolce zakończone małymi banieczkami to skomplikowane aparaty hydro-pneumatyczne. Zwierzątko wyrzuca je przed siebie i przylega za pomocą baniek do wszystkiego co napotyka po drodze i w ten sposób posuwa się naprzód.

Rozgwiazdy odżywiają się bardzo oryginalnie. Zamiast napełniać swój żołądek pokarmem, wysuwają go przez jamę ustną i zanurzają w schwytej ofierze. Przyklejone do skorupy perlomacki rozgwiazdy tak długo ciągną na boki zwarte skorupy muszli aż nie utworzy się w niej szpara. Wtedy rozgwiazda zanurza w nią swój żołądek i pozostawia go tam póki nie strawi zawartości muszli na zasadzie osmozy. Żarłoczność rozgwiazd jest ogromna. Umieszczone we wspólnym naczyniu rozszarpują się i zjadają wzajemnie.

(ap)



Podczas słynnego nalotu niemieckiego na Rotterdam — centrum miasta zostało zrównane z ziemią i stanowiło jedną pustynię kamienną, pośród której wznosił się nadal samotny wiatrak, jeden z najstarszych i najpiękniejszych w Holandii. Jego uratowanie uważali Holendrzy niemal za cud. Pieczołowicie naprawiano uszkodzenia sędziwego zabytku będącego znakomitą atrakcją turystyczną.

W kilka lat po wojnie, gdy Rotterdam dźwignął się z ruin, aby stać się najnowocześniejszym miastem Europy, przeprowadzono przez jego środek autostradę, która trafiała akurat na wiatrak. Powstał problem — przesunąć czcigodną budowlę, czy wygiąć szosę. Pierwsza możliwość została odrzucona ze względu na kruchość drewnianej konstrukcji. Tak więc wokół wiatraka autostrada zatoczyła szeroką pętlę. I pech chciał, że w dniu otwarcia nowej arterii, wiatrak spłonął do ostatniego drewnianka. (K)



AMERYKANIE O INDIANACH

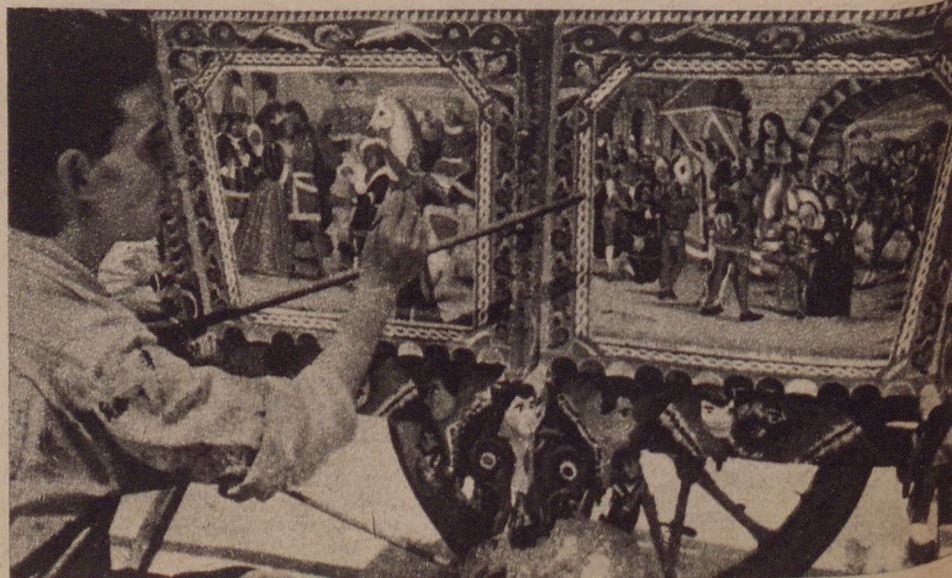
Aż dziw doprawdy jak mało wiemy o Indianach zamieszkujących Stany Zjednoczone. Tłumaczono wprawdzie liczne powieści sensacyjne, w których występowali (na ogół bardzo szlachetni), czerwono-skórzy mieszkańcy prairii i puszczy Nowego Świata, ale gorzej już było z wydaniem w Polsce prac naukowych i popularnonaukowych na temat tych ludów. Brak takich prac uderza tym bardziej, że równocześnie wydano u nas przed wojną sporo książek opisujących życie i zwyczaje rozmaitych innych egzotycznych ludów świata. Tak to więc czytelnik polski poznawał i poznaje Indian Północnej Ameryki z sensacyjnych powieści. Niestety zawarty w nich obraz tych ludów jest bardzo często fałszywy, za wyjątkiem może tylko historycznych powieści Kennetha Ro-

bertsa, których jednak na razie nasze wydawnictwa jakoś nie wznawiają.

Tymczasem w Ameryce ukazują się niejedna książka o Indianach mieszkających w USA, zajmująca się nie tylko ich dziejami i dawną kulturą, ale również ich obecnym położeniem w nowoczesnym świecie amerykańskiej cywilizacji. Ten właśnie typ reprezentują dwie prace etnograficzno-socjologiczne wydane tego roku w Stanach Zjednoczonych. Jedną z nich, zatytułowaną „Other Men's Skies“ napisał Robert Bunker, funkcjonariusz rządu amerykańskiego na terenie Nowego Meksyku, mający za zadanie opiekę nad indiańskimi szczepami Pueblo i Navaho. W książce swej próbuje Bunker rozwiązać problem wrośnięcia konserwatywnej społeczności indiańskiej w otaczającą ją cywilizację ludzi białych. Podobnymi zagadnieniami zajmuje się „Chippewa Indians“ monografia Czipewajów, leśnych Indian ze stanu Wisconsin. Napisała ją siostra M. Carolissa Levi, która przez pewien czas uczyła w szkole jednego z indiańskich rezerwatów. Obok obszernych materiałów źródłowych do historii Czipewajów siostra Carolissa, podobnie jak Robert Bunker, omawia ich życie codzienne, sposób gospodarowania, obrzędy i zwyczaje. Zadziwia ją zwłaszcza niezwykle silny konserwyzm czipewajski i dobrowolne izolowanie się tego ludu od otaczającej go cywilizacji.

Wiadomość o tych publikacjach podajemy za jednym z tegorocznych numerów „Natural History“, miesięcznika wydawanego przez amerykańskie Muzeum Historii Naturalnej w Nowym Jorku. Interesujące te książki zasługiwałyby na o wiele szersze omówienie. Niestety są one dla nas nieosiągalne. (LZ)

KOLOROWE WOZY



Co robią turyści automobilowi w Holandii, gdy zdarzy im się defekt wozu? Po prostu siadają na brzegu szosy i spokojnie czekają. Najdalej w ciągu pół godziny pojawi się jeden z wielkich żółtych motocykli a siedzący na nim mężczyzna w kombinie mechanicznie zapyta czy nie jest potrzebna jego pomoc. Jeśli tak, to proszę bardzo — na oczekaniu naprawia wszelkie dziurawe opony czy nieszczelne pompki benzynowe. Jeśli sprawa jest poważniejsza i potrzeba większych części zamiennych, wskazuje na motor, jedzie do najbliższego warsztatu, jednego z wielu rozsianych wzdłuż holenderskich szos i po chwili jest z powrotem, aby dokończyć naprawy. Na zakończenie grzecznie saltuje do plastikowego hełmu i odjeżdża nie biorąc ani centa. Pod warunkiem jednak, że obok tablicy rejestracyjnej wozu, widnieje mała tabliczka Związku Automobilistów jako dowód opłacenia rocznej składki. Zresztą wszyscy inni też mają prawo do pomocy o ile równocześnie uregulują rachunek. (K)



Koło ma starannie rzeźbioną piastę, obręcz i szprychy. Płaskorzeźby mieniają się kolorami różnobarwnymi malowideł. W tej chwili jednak ornament niknie w półmroku kuźni i kłębach dymu. W powietrzu unosi się śwąd spalonego drewna. Czterech kowali nakłada na koło rozżarzoną do czerwoności obręcz. Czynią to ostrożnie, by żar nie uszkodził malowideł. Opodal tymczasem burty nowego wozu pokrywa się kolorowymi scenami. Tematów dostarczą malarzowi romantyczne tradycje rycerskie sycylijskiego średniowiecza, a zwłaszcza walki przeciwko Maurom i Normanom.

Każdy taki ozdobny wóz to wiele tygodni mozolnej pracy sycylijskich kowali i stelmachów. Głównym centrum wyrobu malowanych dwukółowych wozów jest Bagheria koło Palermo. Tu w tym rzemiośle specjalizuje się rodzina Ducato. W dni świąteczne ozdobne wozy braci Ducato przybrane kwiatami krążą po ulicach wspiarskich wiosek stając wdzięczny obiektem fotograficznym dla cudzoziemskiego turysty. (I)

WAWRZYN Z CARACAS

Pośród morza supernowoczesnych bloków z betonu, szkła i stali rośnie rozłożysty i pierwotny, tak jak pierwotną jest przyroda otaczająca to tropikalne miasto. I chociaż każdy metr kwadratowy ziemi ocieniany przezeń wart jest tysiące boliwarów, to jednak nikt nie ścina Wawrzynu Anauco. Przeciwnie; właściciele browaru „Caracas”, na którego gruntach rośnie sędziwy olbrzym, otoczyli drzewo troskliwą opieką. Nic dziwnego: wawrzyn starszy jest niewątpliwie od miasta w którym rośnie. Trudno ustalić dokładnie jego wiek, ale wiadomo że już we wczes-

snokolonialnym okresie Wenezueli na istniejącej tu plantacji La Guia rosły wawrzyny. W latach 1786—92, kiedy hiszpański gubernator Caracas budował pierwszy most nad wąwozem Anauco, rosnący w pobliżu wawrzyn był w pełnym rozkwicie. Potomek plantatorów z La Guia, budując w 1892 r. pierwszy browar w mieście nie ośmielił się ściąć zawiadującego mu drzewa. I po dziś dzień Wawrzyn z Anauco otoczony powszechnym szacunkiem stanowi jedną z nielicznych pamiątek przeszłości Caracas. (el)



„EJ HRNČAR SOM JA, HRNČAR“

Wędrując po wsiach Podhala, Spisza lub Orawy znajdujemy nieraz w góralskich chałupach niewielkie, smukłe gliniane dzbanki. Niektóre z nich sąwą długą, cienką szyjką przypominają karafki. A wszystkie mają piękny ornament i staranną polewę. „Dzbanki po dziadkach” — mówią o nich ich właściciele. Z jakich pracowni garncarskich pochodzą te gliniane cacka? Nie sugerujemy się wyjaśnieniami górali o ich „węgierskim” pochodzeniu. W rzeczywistości robili je garncarze z sąsiedniej Słowacji, a więc z kraju, który do I wojny światowej wchodził w skład posiadłości węgierskich. I stąd to nieporozumienie.

Słowacka ceramika ludowa jeszcze dziś może poszczycić się pięknymi wyrobami. Poziom ich — zwłaszcza tych, które wyszły ze starych malomiasteczkowych centrów garncarskich — może śmiało konkurować z wyrobami najlepszych polskich ośrodków ceramiki ludowej, takich jak lubelski Łązek Ordynacki, łańcucka Medynia Głogowska lub dawne garncarnie podkarpackich miasteczek. Kontakty handlowe garncarzy z obu stron Karpat były w obrębie austro-węgierskiej monarchii bardzo żywe. Toteż w ceramice słowackiej i polskiej można by znaleźć zapewne sporo wspólnych cech.

W jednym z zeszytów „Krasa Slovenska” Estera Plicková omawia na przykładzie dwu słowackich starych ośrodków garncarskich proces adaptacji tradycyjnego kunsztu ceramicznego do potrzeb dzisiejszego życia. Pierwszym z nich jest wschodnio-słowackie miasteczko Pozdišovce. „Co Pozdišovczanin — to garncarz” ma-

wiają sąsiedzi o mieszkańcach tej osady. Dokumenty świadczące o istnieniu tu wielkiego ośrodka ceramicznego sięgają roku 1416, a w XVIII wieku powstaje tu cech garncarski. Dawny typ tutejszej ceramiki to gładzone, nie glazurowane siwaki. Później jednak po zapoznaniu się z użyciem glazur, naczynia pozdišovskie zaczęto zdobić precyzyjnie malowanymi wężykami, kwiatami, a nawet malowidłami ptaków i zwierząt. Kiedy tutejsi garncarze zetknęli się po raz pierwszy z glazurowaniem? Tego niestety autorka artykułu nie podaje. A szkoda, bo rzucaloby to może światło na historię rozchodzenia się tej umiejętności technicznej wśród garncarzy z północnej strony granicy. Szczególne znaczenie miałoby to dla badaczy historii naszych wielkich ośrodków ceramicznych, gdzie sprawa zastosowania po raz pierwszy glazur przedstawia się dość tajemniczo.

Drugim z omawianych przez Plickovą ośrodków jest Pukanec, osada położona wśród pagórkowatych winnic południowej Słowacji. Specjalnością tego ośrodka był wyrób słynnych majolik. Tu rysowano na dzbankach sceny z życia miejscowych rzemieślników i wypisywano pijackie sentencje w rodzaju:

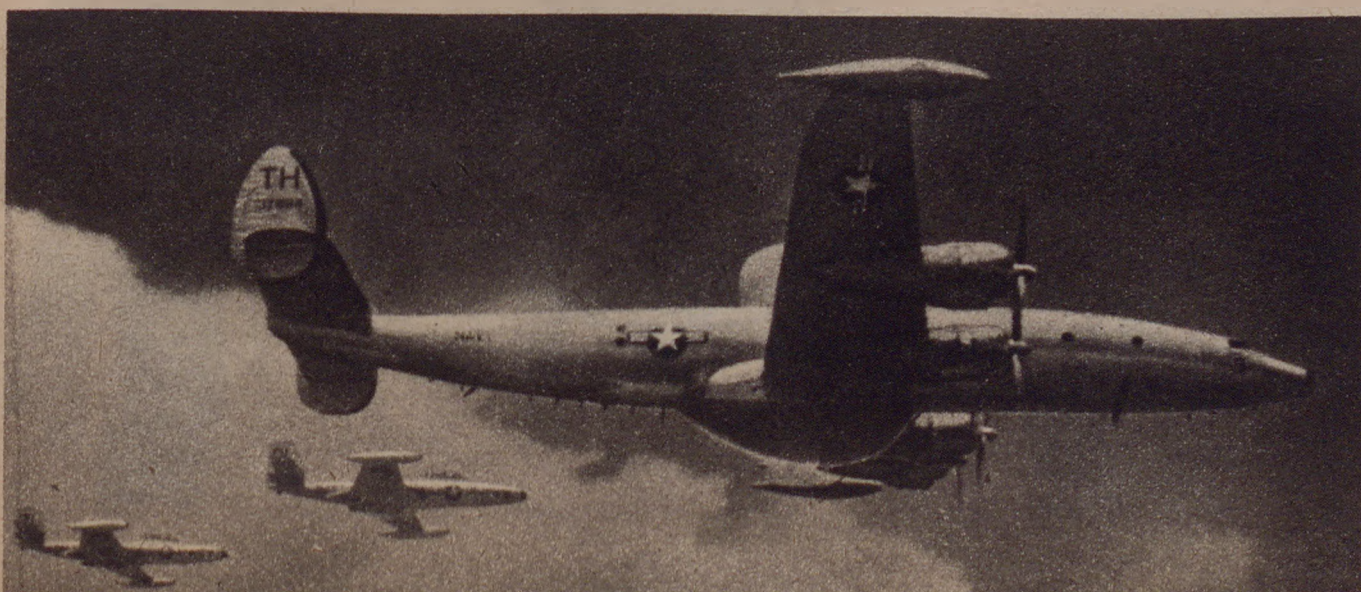
Kamrati, pime ho
az do rana bilcho.

Pukaneckie majoliki to istna kopalnia wiadomości o dawnym życiu cechowym.

Zarówno w Pozdišovcach jak i Pukanec istnieją obecnie spółdzielnie garncarskie, wyposażone w nowoczesne

piece i koła o napędzie elektrycznym. Obok ceramiki „artystycznej” spółdzielcy wyrabiają również ceramikę czysto użytkową, cieszącą się nadal po wsiach dużą popularnością. Podobno garncarze zdobią swe naczynia w oparciu o stare tradycyjne ornamenty, a także sami obmyślają nowe. Pozostaje nam tylko wierzyć autorce na słowo. Z naszych doświadczeń wiemy, że prowadzenie wielkich ośrodków ceramiki ludowej w ten sposób, by ich produkcja nie została zubożona przez bezmyślną komercjalizację lub nie polegała na lepieniu dziwolągów ku uciesze żądnych egzotyki „panów” — to sprawa bardzo trudna.

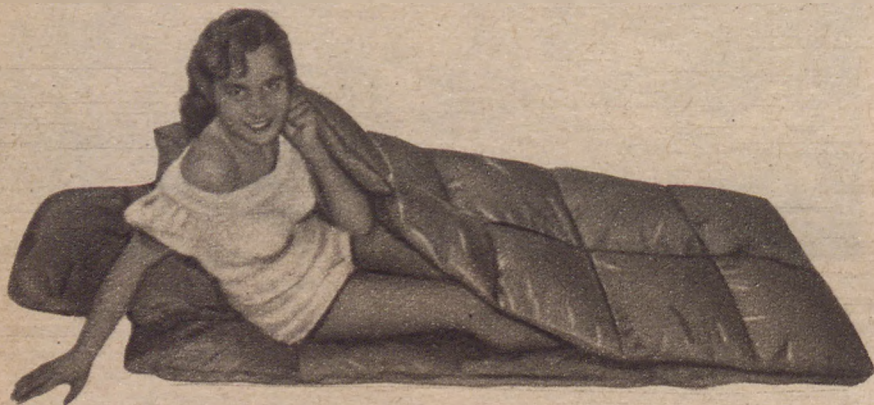
Oprócz Pozdišovców i Pukanca istnieje do dnia dzisiejszego na Słowacji szereg drobniejszych pracowni garncarskich w Bardejowie, Preszowie, Trsnej i Haliczu. Jak widać — urbanizacja nie koniecznie musi natychmiast niszczyć tę gałąź ludowego rzemiosła. Ale zgódźmy się, że chyba lata jej są już policzone. Niektóre z większych garncarni przetrwają jeszcze czas jakiś w formie nowoczesnych warsztatów wytwórczości regionalnej, takich jak Pozdišovce i Pukanec, lecz i one z czasem zostaną wchłonięte przez zmechanizowane wytwórnie przemysłowe, a tylko wypracowane od wieków przez pokolenia garncarzy motywy zdobnicze będą przez pewien czas jeszcze trwały w fabrycznych wyrobach codziennego użytku. Dopóki ich nie zmiecie któryś z kolejnych nowoczesnych prądów artystycznych w sztuce stosowanej. Wtedy staną się wyłącznie muzealną osobliwością. (L)



LOTNICZE BADANIA ARCHEOLOGICZNE

Ślady całego systemu antycznych pól uprawnych położonych terasowo na stromych stokach pasma górskiego Hymethos o kilkanaście kilometrów na południe od Aten odkrył za pomocą zdjęć lotniczych wojskowy lotnik John Bradford. Dalsze odkrycia sygnalizuje on z innych okolic Attyki oraz Peloponezu. Badania powierzchniowe dostarczyły wielu ciekawych danych o budowie pól terasowych i funkcjonowaniu urzędzeń odwadniających. Dotychczasowe odkrycia pozwalają wnioskować, że powierzchnia uprawna była w starożytnej Grecji większa niżli w czasach późniejszych.

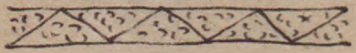
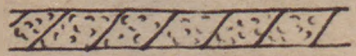
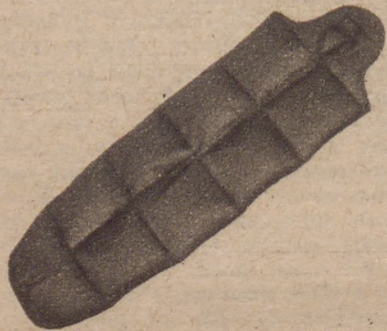
DLA NIEJEDNEGO CZŁOWIEKA NOCLEG POD GOŁYM NIEBEM W MROŻNĄ NOC ZIMOWĄ WIAŻE SIĘ Z PERSPEKTYWĄ NIEUCHRONNEGO ZMARZNIĘCIA NA ŚMIERĆ. Z TYM WIĘKSZYM PODZIWIEM CZYTA ON RELACJE Z WYPRAW POLARNYCH I WYSOKOGÓRSKICH. TYMCZASEM W RZECZYWISTOŚCI NOCOWAĆ MOŻNA NAWET NA SILNYM MROZIE, POD WARUNKIEM ŻE DYSPONUJEMY ODPOWIEDNIM ŚPIWOREM. NIE WYSTARCZA OCZYWIŚCIE POPULARNY LETNI ŚPIWÓR KOCOWY. DO ZIMOWYCH BIWAKÓW UŻYWAMY BATYSTOWYCH ŚPIWORÓW WYPEŁNIONYCH ODTŁUSZCZONYM PUCHEM GĘSIM, LUB CO OSTATNIO STOSUJĄ FIRMY ZACHODNIE — SYNTEZYCZNYM WŁÓKNEM. LEKKIM I NADAJĄCYM SIĘ DO PRANIA.



Reprodukowany powyżej śpiwór typ „Esquimau“ francuskiej firmy André Jamet, zapina się z boku na długi zamek błyskawiczny. Dzięki temu rozpięty od góry do dołu śpiwór można używać jako zwykłą puchową kołdrę.

Tej kombinacji nie da się zastosować w typie śpiwora „Esquimau Grand Nord“ tej samej francuskiej firmy. Tu zapięcie stanowi krótki zamek umieszczony pośrodku. Śpiwór ten — jak wskazuje na to choćby krój kaptura — przeznaczony jest na biwaki w trudnych zimowych warunkach, gdzie chodzi o jak najmniejszą utratę ciepła.

André JAMET
GRENOBLE



Przykłady pikowania puchowych śpiworów i kurtek:

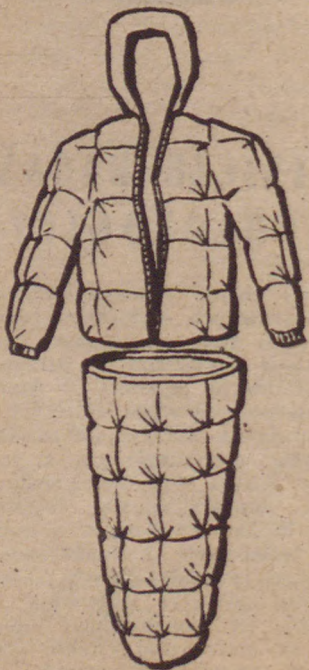
pikowanie zwykłe, pikowanie ściankowe lub „himalajskie“.

Pikowanie ściankowe, trudniejsze do wykonania, daje w efekcie rozłożenie puchu warstwą o równej grubości. W systemie zwykłym na szwach brak zupełnie warstwy izolującej.

Obok na zdjęciu komplet biwakowy składający się z puchowej kurtki i „nogi słonia“ — francuskiej firmy „Montcamp“, oraz kurtka firmy „Boucherat Sport“ typ „Himalaya“ szyta systemem pikowania ściankowego.

Do tego samego celu co śpiwór służy kurtka puchowa z dopinanym kapturem i tzw. „noga słonia“.

Całość, aby służyła swojemu przeznaczeniu, musi posiadać odpowiednią długość. Kurtka powinna zakrywać biodra a „noga słonia“ sięgać pod pachy.



Doskonałe turystyczne buty na wibramowej podszewie z wygodnym językiem z jednego kawałka skóry, umocowanego bezpośrednio do cholewki buta. Podeszwa buta głęboko profilowana posiada wiele odmian.



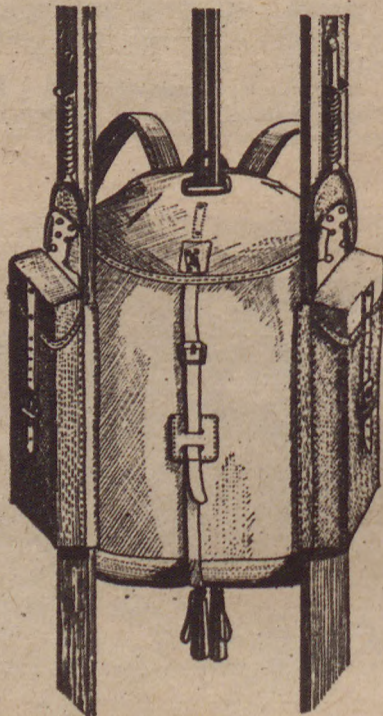
Na zdjęciu model buta i jego podeszwa firmy „Le Trappeur“.

Tej samej firmy najnowszy model buta narciarskiego — dla narciarzy „zjazdowców“.



Le Trappeur
MARQUE MONDIALE

Francuska firma „Lafuma“ wyprodukowała plecak specjalnie przeznaczony dla narciarzy-turystów, który rozwiązuje problem transportu nart.



KONKURS

KTO OGLASZA?
Ministerstwo Oświaty.

ZADANIE KONKURSOWE?
Projekt barwnej odznaki dla członków szkolnych kół krajoznawczo-turystycznych.

FORMA PROJEKTU?
Barwny rysunek odznaki w wielkości naturalnej, oraz kilkakrotne powiększenie.

NAGRODY?
I — 1500 zł
II — 1000 zł
III — 750 zł
IV, V, VI — 300 zł

GDZIE NADSYLAĆ PRACE?
Min. Oświaty, Warszawa Al. I Armii Wojska Polskiego 25, Wydział Krajoznawstwa i Turystyki.

W JAKIM TERMINIE?
31 stycznia 1958 r.

MOŻNA OGLADAĆ

W uzupełnieniu artykułu Stanisława Wałęgi: *Gdański Sąd Ostateczny* — zakończenie w nr 8/10 Ziemi, spieszę donieść, że tryptyk Memlinga w chwili obecnej już został udostępniony publiczności. Obraz ten o

imponujących wymiarach został umieszczony w oddzielnej sali Muzeum m. Gdańska. Wspaniale odnowiony, swym bogactwem nagromadzonych szczegółów i techniką wykonania wywołuje w widzu niebywałe przeżycia. Wszystkich tych, którzy będą w Gdańsku, zachęcam do obejrzenia tryptyku a po drodze i innych dzieł sztuki, znajdujących się w tym Muzeum. Dodać należy, że Muzeum posiada piękny lokal, a odpowiednie rozłożenie obiektów sztuki daje możliwość zwiedzania Muzeum nawet bez przewodnika. Na uwagę zasługuje także dział prehistoryczny, w którym znajdują się liczne zabytki znalezione na terenie Gdańska i okolic.

Stefan Rosiak, Łódź

WSPOMNIENIA

mieszkańców wsi polskiej związane z drugą wojną światową — to tematyka konkursu folklorystycznego zorganizowanego przez redakcję czasopisma „Literatura Ludowa”. Chodzi tu o ludowe pieśni, przysłowia, opowiadania i gawędy związane z konkretnymi wydarzeniami i miejscowościami a zapisane w gwarze. Termin nadsyłania prac upływa z dniem 31 grudnia 1957 r. Szczegółowych informacji o warunkach konkursu udziela redakcja „Literatury Ludowej” Warszawa, Nowy Świat 72.

BIBLIOGRAFIA

Bydgoszcz i okolice. Przewodnik — informator. Bydgoszcz 1956. Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze. S. 192, 4 nrb., mapa 1, pl. 1, ilustr. Cena zł 5,—.

Michalski Leon, Starski Marian — Informator miasta Kalisza na rok 1957. (Plan miasta oprac. Wł. Kościelniak). Kalisz 1957, s. 74, 3 nrb., plan 1 luźny, ilustr. Cena zł 10,—.

Wierzbicki Zbigniew Tadeusz — Na bezdrożach myśli tatrzańskie. O właściwe zasady turystyki. Poznań 1957, Liga Ochrony Przyrody. S. 30, 2 nrb., ilustr. Cena zł 3,50.

Koźmiński Andrzej — Polanica Zdrój i okolice. Warszawa 1957. „Sport i Turystyka” s. 94, 1 nrb., mapa 1, ilustr. Cena zł 4,60.

Wakar Andrzej, Wolski Bolesław — Sześć wieków Olsztyna. Olsztyn 1956, s. 84, 4 nrb., tabl. 1, pl. 2, ilustr. portr.

Wyczawski Hieronim Eugeniusz. Alwernia. Dzieje Klasztoru OO. Bernardynów. Kraków 1957. Archiwum Prowincji OO. Bernardynów. S. 137, 5 nrb., tabl. 17, portr. 2, mapa 1, pl. 2.

Koźmiński Andrzej — Duszniki Zdrój i okolice. Warszawa 1957. „Sport i Turystyka” s. 93, 2 nrb., mapa 1, ilustr. Cena 4,60.

Wegner Jan — Nieborów. Warszawa 1957. „Sztuka”. S. 24, 4 nrb., tabl. 40 w tym portr. Cena zł 45,—.

DROBIAZGI

Miasto Jarocin w woj. poznańskim wkrótce będzie obchodzić 700-lecie swego istnienia. W roku przyszłym 300-lecie będzie obchodzić kaszubskie miasto Wejherowo.

czarnej. Ostatnio wystąpił z inicjatywą utworzenia centralnego rosarium na terenie Szczecina, przez co miasto uzyskałoby jeszcze jeden atrakcyjny obiekt turystyczny.

słynnej bitwy na Psim Polu pod Wrocławiem, stoczonej w 1109 roku. W poszukiwaniach brali udział żołnierze z aparatami do wykrywania metalowych części uzbrojenia — mieczy, pancerzy, grotów etc.

W Polsce na terenie rezerwatów żyje 98 żubrów a 8 sztuk w ogrodach zoologicznych. W tym roku przychówek wyniósł 16 sztuk.

Podczas prac odkrywkowych prowadzonych przy budowie doświadczalnej kopalni siarki w miejscowości Piaseczno (pow. Tarnobrzeg) znaleziono na głębokości 13 m kiel mamuta oraz część kości goleniowej tego zwierzęcia.

W trakcie cięcia powalonego przez burzę starego dębu przy ul. Sokolskiej w Radlinie jego właściciel p. Fr. Radka odkrył we wnętrzu pnia płaskorzeźbę głowy Chrystusa. Na płaskorzeźbie wyryte były inicjały S. K. Jak się przypuszcza rzeźbę tę wykonał nieznany artysta ludowy wprost na drzewie. Z biegiem lat płaskorzeźba ta zarosła korą i skryła się zupełnie w środku drzewa.

Jeden z mieszkańców Warszawy ofiarował stołecznemu ogrodowi zoologicznemu jastrzębiarę rybolową. Ptak posiadał obrączkę ze stacji ornitologicznej w Sztokholmie, którą przekazano ambasadzie szwedzkiej.

Amatorów narciarstwa ucieszy zapewne fakt rozpoczęcia budowy 3 wyciągów krzeselkowych: z Karpacza na Małą Kopę, ze Szklarskiej Poręby na Szrenicę i ze Szrenicy na Łabski Szczyt. Różnica poziomów na trasie wyciągu wynosi 525 m.

W rezerwach ptasich na Mazurach znajduje się obecnie ponad 1500 dzikich łabędzi. W rb. na jeziorze Łukniańskim przyrost wyniósł prawie 300 szt.

Kazimierz Walter, jeden z mieszkańców szczecińskiego przedmieścia Gumienice hoduje w swym ogrodzie rozmaite gatunki róż. Walter jest właścicielem jednej z największych w Polsce kolekcji róży

„ALBERTUS”

DOKOŃCZENIE
ZE STR. 32

Gdy komu zadano miłość

Wciągnąć nowe buty na bose nogi i biegać w nich szybko całą miłą, aby nogi się spoczęły. Potem trzeba zdjąć prawy but i pić z niego wino lub piwo a nabeździe się odraży do osoby, która wszczepiła nam miłość w tajemny sposób.

Przeciw śpikowi

Weź dwa uszy zajęcze i włóż takowemu niewiedząco pod poduszkę, który usnąć nie może.

Starego kowala tajemny środek na puchlinę u konia

Weź jeszcze ciepłego sadła, wytop dobrze, połóż koniowi na opuchnię miejsce.

Ażeby kogo nie widzieć

Postaraj się o ucho czarnego kota, oparz je mlekiem czarnej krowy, zrób z niego woreczek i włóż na wielki palec, to nikt cię nie zobaczy.

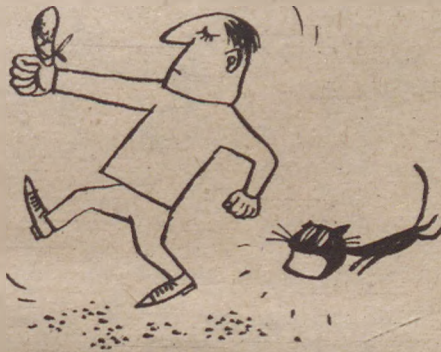


Jak ugotować stare mięso na miękko

Jeśli chcesz ugotować miękko mięso ze starego bydłaka, to wrzuć kornei pokrzywy albo kawał szkła, albo ziarenka brzoskwini do garnka, aby się razem gotowały.

Złe powietrze

Weź 3 ruciane wieńce, 3 wieńce orzecha laskowego, 3 wieńce piołunu i kadź tem.



I tak dalej. Jak widzimy, obok zwykłych przepisów zielarskich roi się tu od dziwacznych formulek magicznych. Obok opisu „wynałazku pewnego doktora, który wszystkie choroby poznawał z uryny” i recepty na środek przeciw wściekłości (cytowanej za jakąś „Petersburską rozprawą higieniczną”) znajdujemy opis „bardzo skutecznej modlitwy którą się od wszelkiej broni można uchronić” a także zaklęcie na „dobrą pozycję dla strzelającego”.

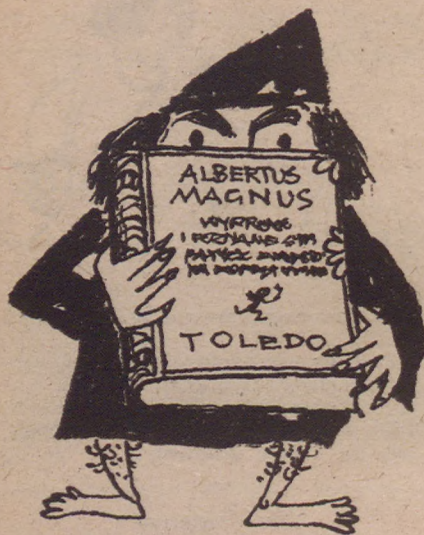
Dzielko, o którym piszę nie posiadało ani roku wydania, ani też nigdzie na jego kartkach nie znalazłem nazwiska wydawcy. Trudno też uwierzyć w prawdziwość napisu „Toledo”. Mimo zniszczenia „Egipskie tajemnice” bynajmniej nie robiły wrażenia starodruku. Sądząc z wyglądu mogły sobie liczyć co najwyżej 60 lat. Kompilator, który je wydał, niewiele miał zapewne wspólnego z średniowiecznym Al-

bertem Wielkim, lecz w ułożonym przez siebie zbioru uwzględnił zapewne niejedną receptę, przepisaną ze starych foliałów.

Na zakończenie próbka argumentacji „Albertusa” zachwalającego w odezwie do „szanownych czytelników” swe tajemnice:

„Aby ludziom dopomóc wydano tę książkę w druku, aby można złamać moc i złość diabła. Niech tam niewierni mówią co chcą, a jednak pozostaną te prawdy nieomyślne... Lepiej więc walczyć z diabłem jak go słuchać, a można to bardzo łatwo z pomocą tej książeczki. ...Proszę więc każdego, kto to dostanie do ręki, aby nie sztydził sobie, albo nie odrzucał, ponieważ by sobie sam przez to zaszkodził i mógłby się narazić na straty... Bo też ta książka zawiera mnóstwo wypróbowanych środków, które mają wielką wartość i to o wiele większą jak czytelnik za nią zapłacił.”





pisem: „Albertus Magnus, wypróbowane i uznane, sympatyczne i naturalne egipskie tajemnice dla ludzi i bydła”. „Dla mieszczan i włościan”. Oto parę tajemnic Albertusa:

Dobry środek gdy ktoś upadł
Daj łyk lnianego oleju, potem łyk korbalowej wody, Jeśli jednakowóż ciężki jest upadek, weź szpiku wielorybiego, w occie zagrzej i zażyj, pomogło wielu ludziom.

Przeciw złodziejom mlecznym

Weź zajęczych topoli i podłóż takowe pode drzwi, przez które bydło wychodzi i wchodzi, to ci mleka nie skradną.



Wielka sztuka przeciw kurczom.

EDOAE VEOAEP BEOAEV (3 znaki krzyża). Te słowa tak długo uwieś, aż kurcze ustaną.

Na melancholię i brak pamięci

Trzeba wziąć orzech laskowy, który z natury lub od robaka ma dziurę i wywiercić igłą wszystko to, co jest jeszcze w środku. Potem wsunąć do środka piórko pawie, resztę miejsca zapełnić żywym srebrem i zalepić woskiem dziewiczym. Potem zaszywa się orzech w karmazynowy tafet i uwiesza u szyi, a zobaczy się cuda.

Jeśli koń nie je

Wysmaruj mu zęby pieprzem i czosnkiem a zre jak wilk.



Złamanie u młodzieńca

Utnij mu 3 zwoje włosów, zawiąż w czystą chustkę, zanieś na granicę, zagrzeb pod młodą jodłą a pomoże (3 znaki krzyża).

Gdy koń robaki ma lub coś podobnego

Puść bąka w trzewik i koniowi w ucho a pomoże.

Środek na pchły

Chcąc zebrać w jedno miejsce wszystkie pchły, znajdujące się w domu, potrzyj na kij smalcu lisiego lub jeżowego, a wnet wszystkie usiądą na to. Albo weź krwi koźlej lub z jeża do miski i postaw obok łóżka, to zbiorą się do niej wszystkie pchły. Ten sam skutek wywiera ośle mleko.

Na kółki

Ty stary trupie, bądźże w skorupie, a nie w chałupie, idź sobie głupie (3 znaki krzyża). 3 razy zmów a pomoże.

Zmusić mężczyznę

Ja N.N. ochucham cię, odejmuję ci trzy krople krwi pierwszą z tego serca, drugą z twej wątroby, trzecią z twej siły żywotnej, przez to biorę ci twą siłę. Trzy razy.

DOKOŃCZENIE

NA STR. 31

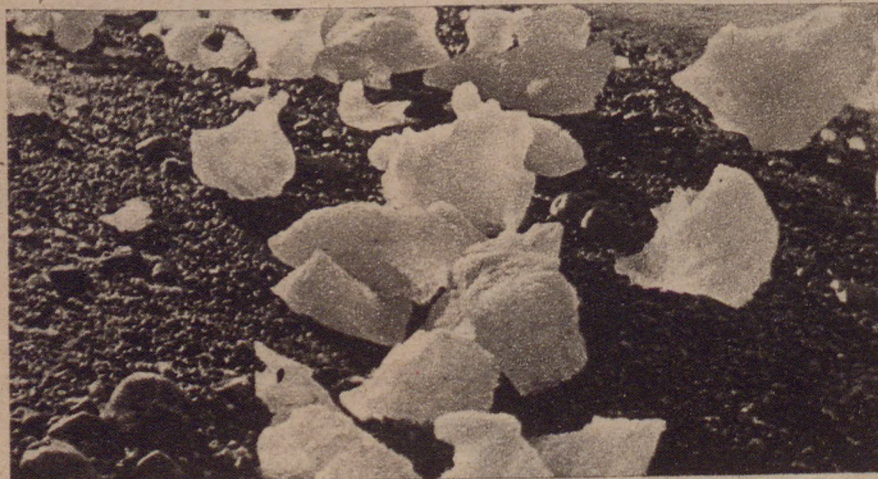


„SKUTECZNE MOJE ŚRODKI LECZNICZE, KTÓRE POMOGŁY JUŻ LUDZIOM I BYDŁU Z BLISKA I Z DALEKA SPRAWIŁY, ŻE LUDZIE PISALI DO MNIE, ABYM TE LEKI PODAŁ W DRUKU. NIE MIAŁEM ZAMIARU PODAWAĆ DUŻO W PUBLICZNYM DRUKU, ABY NIE WYSTAWIĆ SIĘ NA NIENAWIŚĆ I NAGANĘ LUDZI UCZONYCH. DLATEGO PODAJĘ TU TYLKO MAŁO ŚRODKÓW DOMOWYCH, BY TEM WIĘCEJ POSWIECIĆ SIĘ NIEROZUMNEMU BYDŁU.

DLA BYDŁA, OWIEC I ŚWIŃ, ZNAJDZIECIE W TEJ KSIĄŻCE DUŻO LEKÓW NA RÓŻNE CHOROBY I BŁĘDY, MOGĄ SIĘ ZWĄC JAK CHCĄ, TAKŻE PRZEPISY, JAK OPATRYWAĆ ZDROWE BYDŁO I ZAPOBIEGAĆ BŁĘDOM. WSZYSTKIE TU ZAWARTE LEKI PRAKTYKOWAŁEM SZCZEGÓLNICZNIE U BYDŁA I TO ZE SKUTKIEM.

ŻYCZENIEM MOIM JEST WIĘC, BY TA KSIĄŻECZKA PRZYNIOSŁA POŻYTEK CZYTELNIKOWI. POLECAM SIĘ MOIM ODBIORCOM...”

Książeczka była bardzo zniszczona. Brakowało w niej okładek i wielu kartek. Ośle uszy i znaki ołówkiem na marginesach świadczyły, że miała wielu czytelników. Na szczęście zachowała się strona tytułowa z na-



Były tam miejsca, których przed nami nie tknęła stopa człowieka. Całymi kilometrami posuwaliśmy się wybrzeżem zasłanym kłodami drzewa dryf-

towego, wśród topniejących z cichym sykiem, porzuconych przez morze brył białego szkliwa.

W NASTĘPNYM NUMERZE

Ludzie niczym diabły, z twarzami umazanymi czerwoną gliną, wpadają do podziemnych korytarzy. Ciemności ustępują pocięte nożami reflek-

torów, odsłaniając kryształowe jeziora, barwne stalaktyty i przedziwne utwory z aksamitnego błota.

W NASTĘPNYM NUMERZE

